Nr. 39. Lwów, Niedziela dnia 3. Czerwca 1877 r. Tom V.



ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracya:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

JEZUICKA PROPAGANDA.

Zapewne niewielu z czytelników naszych wiadomem jest istnienie stowarzyszenia, założonego przez Jezuitów pod nazwą: „Apostolstwo Serca Jezusowego — związek katolicki dla tryumfu kościoła św. i zbawienia dusz ludzkich.“— Związek ten, wedle własnych jego sprawozdań, obejmuje cały kraj i liczy krocie tysięcy członków. Ma też stowarzyszenie własne pisemko peryodyczne, wychodzące w Krakowie co miesiąc pod tytułem „Zbiór intencyj miesięcznych Apostolstwa Serca Jezusowego“. Wydawcą jego jest wielce zasłużony około rozwoju jezuityzmu ksiądz Michał Mycielski. Mamy przed sobą zeszyt tej publikacyi za miesiąc styczeń 1877, zawierający sprawozdanie za rok ubiegły, z którego dowiadujemy się, że liczba członków Apostolstwa urosła w Galicyi w ciągu roku o 90.000, tak że teraz Apostolstwo liczy ich w kraju naszym około 270.000. — Parafii przybyło 112 a kongregacyj 22, tak iż obecnie jest 334 parafij i 80 zgromadzeń. — Pisemko wydawane przez ks. Mycielskiego, rozchodziło się na początku roku w 19.000 egzemplarzy, obecnie rozchodzi się w 31.000 egzemplarzy. Miesięczne zeszyty rozdają się członkom w kościele, a każdy odbierając zeszyt płaci dwa centy. Obaczmy, jaka jest treść tych publikacyj.

Styczniowy zeszyt, po sprawozdaniu rocznem, z którego wyjęliśmy powyższe cyfry, zawiera ustęp o św. Trzech królach, dalej o potrzebie spowiedzi, dalej historyą obrazu cudownego Matki Boskiej Boreckiej w Poznańskiem, z drzeworytem tego obrazu, a wreszcie artykuł o licznych cudach, jakie w ostatnich dniach wydarzyły się członkom Apostolstwa Serca Jezusowego.

Już w sprawozdaniu wstępnem nadmienia ksiądz Mycielski, że „wielki udział w Apostolstwie Serca P. Jezusa wynagradza nadzwyczajnemi łaskami, które jako deszcz obfity spadają na ziemię naszę. Dyrektorowie miejscowi donoszą, że Bóg błogosławi w szczególny sposób parafiom, gdzie zaprowadzone jest Apostolstwo“.

Lecz nie poprzestając na tej ogólnej wzmiance ksiądz Mycielski w każdym zeszycie swego czasopisma podaje długi szereg coraz nowych cudów, ze szczegółowem ich opisaniem. Oto dosłowny wyjątek z tego artykułu:

V. Błogosławieństwa Najśw. Serca P. Jezusa w naszym kraju.

Serce Pana Jezusa zlewa coraz obfitsze łaski na czcicieli swoich, którzy się z ufnością w potrzebach doń uciekają. Tą razą odebraliśmy więcej niż kiedykolwiek listów dziękczynnych, opisujących najrozmaitsze łaski. Z powodu szczupłego miejsca znowu tylko w skróceniu je podajemy.

1. *W Poznaniu* dziecko 11-miesięczne pana *F. R.* zachorowało silnie na żarnice, po których nastąpiła biegunka i koklusz. Stroskany ojciec, straciwszy nadzieję w ludzką pomoc, bo doktorzy o życiu dziecka zwątpili zupełnie, polecił je N. Sercu P. Jezusa. Dziecko cudownie wyzdrowiało! Uradowany ojciec składa niniejszem najczulsze dzięki Boskiemu Sercu.

2. *W. P. Ch.* donosi, że pewna osoba cierpiąca od kilku na lat kość pacierzową i „skazana przez kilku lekarzy na wieczne kalectwo“ za łaską Serca Jezusowego przychodzi do zdrowia.

3. Inna osoba, jak pisze *W. P. W. O.*, która cierpiała gwałtowne bole w krzyżach, udała się o pomoc do Serca P. Jezusa z obietnicą, że oznajmi to w kalendarzyku, jeżeli wysłuchaną zostanie. Teraz donosi: „że po uczynionem postanowieniu nietylko ulgi doznała, lecz także, iż wszelki ból ustał“.

4. *P. A. F. ze Żnina* donosi, że pewna dziewczynka miała wyrzuty na całej głowie. Kiedy jej te wyrzuty spędzono z głowy, choroba przeniosła się na oczy. Lecz skoro dano jej medalik Serca P. Jezusa i zapisano ją do Apostolstwa, dziewczynka wyzdrowiała i dziękuje Sercu Pana Jezusa za odebraną łaskę.

5. *P. K. K. z Brodów* dziękuje Sercu P. Jezusa za dobrze odprawioną spowiedź generalną.

6. *Zelator P. Sz. z Oświęcima* donosi o kilku cudownych uzdrowieniach. 1. Dwuletnie dziecko niejakiej Zofii Tomaszek od dłuższego czasu chorowite, przyszło zupełnie do zdrowia, kiedy je wpisano do Apostolstwa i kiedy włożono na nie medalik Serca Pana Jezusa. 2. F. S., który od lat siedmiu stracił słuch na lewe ucho, polecał kilka razy w kalendarzyku swoję prośbę, teraz wysłuchany został i dziękuje najgoręcej Najśw. Sercu P. Jezusa. 3. Maryanna Gawrońska miała 10-cio letnią córeczkę, chorą od 5-ciu miesięcy na oczy tak, że musiała przestać chodzić do szkoły. Zapisano ją do Apostolstwa i włożono na nią medalik Serca Pana Jezusa. Zaraz potem pierwszej nocy zawołała na matkę, żeby wstała, zaświeciła i zobaczyła, że ból oczu zniknął.

7. *W. Pani K. ze Lwowa* donosi: „Ośmnastoletnią panienkę, która w najwyższym stopniu była chorą na ospę, wpisałam do Apostolstwa i dałam jej medalik Serca Pana Jezusa. Już na drugi dzień polepszyło się chorej tak znacznie, że kiedym przyszła ją odwiedzić, uradowana matka zawołała: „Moja Marynia ma się bardzo dobrze!“

8. *P. A. z M. Parafii Zawoja* donosi: że była tak ciężką chorobą złożona, że zwątpiła o wyzdrowieniu. Podawszy swą prośbę dwa razy do kalendarzyka została nadspodziewanie i cudownie uleczoną.

9. *W. S. M. A. z Krakowa* donosi: że pewna panienka 11-letnia, która od 5-go roku życia 2 razy na miesiąc miewała bardzo silne konwulsye, wpisana do Apostolstwa, przyjęła szkaplerzyk i odprawiła z rodziną swoją Nowennę do Serca P. Jezusa. Konwulsye odtąd ustały i od 4 miesięcy już się nie powtórzyły.

10. *Marcin Gąsior, gospodarz z Brzezia* donosi że w liczne i niebezpieczne procesa niewinnie uwikłany, udał się o pomoc do Najśw. Serca P. Jezusa. Ludzie się z niego śmieli, nieprzyjaciele się cieszyli, nawet własna żona mu dokuczała, mówiąc: masz teraz nagrodę za twe dobre serce! Zdesperowany wpisał się do Apostolstwa, i dzięki Najśw. Sercu P. Jezusa, z podziwieniem wszystkich, wygrał procesa“.

Kalendarzyk, o którym tyle razy jest wzmianka powyżej, jest to spis intencyj i modlitw

codziennych, ogłaszanych na każdy miesiąc. W zeszycie styczniowym znajdujemy następujące:

„1. stycznia. Za 18 szczególnie poleconych i 2.314 innych spraw.

2. stycznia. Podziękowanie P. Jezusowi za wysłuchanie prośb 3086 osób, 105 rodzin, 22 zgromadzeń.

8. stycznia. Za grzeszników 10.918 osób, 186 rodzin, 55 zgromadzeń. Za 19.809 dzieci.

12. stycznia. O błogosławieństwo w nauce dla 1.070 osób, 101 rodzin, 1232 zgromadzeń. O dobre wychowanie dzieci w 84 rodzinach", itd.

Kto zatem chce być polecony wspólnym modłom — udaje się do ks. Mycielskiego, a ten wpisuje go w odnośną rubrykę kalendarzyka, i z godną podziwienia skrupulatnością utrzymuje dokładną ewidencyą tylu rozmaitych na krocie tysięcy liczących się petentów.

W ten sposób członkowie Apostolstwa zyskać mogą oswobodzenie od wszelkich chorób i dolegliwości, wygrywać procesa, a nawet uwolnić się od wymówek dokuczliwej żony.

Lecz gdy człowiek wykształcony odczyta z uśmiechem politowania owe cuda, jakby żywcem wyjęte z kroniki średniowiecznej, — to lud ciemny uwierzy bez wahania książeczce otrzymanej w kościele, opatrzonej konstystoryalnem „*imprimatur*" i podpisem biskupa ks. Gałeckiego.

Tak szerzy się między ludem bezmyślna bigoterya i fatalistyczna wiara w cudowną działalność obrazów, medalioników i t. p. Ostateczny zaś rezultat tej działalności zbyt łatwy do przewidzenia. Chwilowo skorzystają Jezuici z rozszerzenia swego wpływu, lecz w dalszem następstwie kościół i religia Chrystusowa ciężkie poniosą straty. Nadużywając bowiem w ten sposób dziecięcej łatwowierności ludu, Jezuici popychają go wprost ku przeciwnej ostateczności, ku odrzuceniu wszelkiej wiary i religii. Historya aż nazbyt liczne zawiera przykłady na to, że jezuicki fanatyzm był najdzielniejszym sprzymierzeńcem ateizmu.

Postępowanie takie wstrętnem być musi każdemu kapłanowi, który pojmuje świętość swego powołania, i oburza każdego myślącego człowieka. Jest też obowiązkiem każdego, komu przyszłość narodu nieobojętna, wedle sił i sposobności stawiać wszędzie opór tej propagandzie ciemnoty, tej przestarzałej już szarlataneryi, tworzącej cuda za pomocą bujnej wyobraźni łatwowiernych, a podkopującej prawdziwą religijność i moralność.

SZKLANNY CZŁOWIEK.

Nowella

J. Lama i Włodzimierza Zagórskiego.

(*Ciąg dalszy.*)

Tak tedy wydała owa konferencya, na której rozstrzygnięto sprawę starowolskiej sukcesyi, rezultaty dla stron interesowanych pomyślne i ze wszechmiar zadowalniające.

Wypłaciwszy Czerniowcom legat pana Paschalisa, a szwagrowi swemu umówionych sześć tysięcy, wszedł zacny Ratatyński w posiadanie Suchowoli. Był to niezawodnie udział lwi, jak to mówią: *pars leonis,* ale przyznasz pan, że człowiekowi, który się dla spokoju swego szwagra poświęca, należy się słusznie pewna bonifikacya. *Entre parenthèse* muszę poczciwemu Marcelemu oddać tę sprawiedliwość, że zostawszy raz właścicielem Starowoli, nie przeceniał poświęcenia, które go do nabycia tego majątku skłoniło, i nie „*cottował*" zasług swych wyżej *pari.* Wprawdzie uskarżał się czasami, że nowe dziedzictwo stało się dlań przyczyną nowego „harowania", ale o tem, że się tego harowania podjął jedynie w tym celu, ażeby szklanność Władysława ochronić od rozbicia, nie wspominał wcale. Słowem był to *un bon apôtre* w najszerszem tego słowa znaczeniu, i możnaby go za przykład postawić wszystkim tym zgryźliwym „cierpiętnikom", którzy co chwila stawiają krajowi przed oczy rachunek kosztów swego poświęcenia, i — niezadowoleni wysokiemi posadami, któremi bardzo zresztą względne ich zasługi wynagrodzono, ani też zaszczytami, i dostojeństwy, któremi ich nad miarę obsypano — utrzymują, że po ostatecznem zamknięciu bilansu zasługi i nagrody, kraj zawsze jeszcze winien im trzy reńskie i centów dwadzieścia!

Otóż zacny mój Ratatyński nie należał wcale do tego rodzaju „ocalaczy sytuacyi": Owszem przyznać muszę, że kłopoty i „harowanie", któremi go obarczyła ofiarność jego zupełnie bezinteresowna, nie nadwątliły bynajmniej jego zdrowia i wesołego humoru, jak się tego niegdyś obawiał na konferencyi. Uskuteczniwszy znaczniejszą sprzedaż budulcowego materyału, i pożyczywszy u Sumińskiego za pośrednictwem Ehrenmanna kilkanaście tysięcy, kupił sobie u Chrabąszcza czwórkę kasztanków, tym razem za gotowe pieniądze, zaopatrzył piwnicę swą w wyborne *Chateau Lafitte,* i począł używać błogosławionych darów Bożych, któremi wynagrodziło niebo rzutkość jego, gospodarność i poświęcenie. Natomiast odczuła druga jego połowa, p. Aniela z Podborskich Ratatyńska brzemię dokonanego poświęcenia w sposób dotkliwszy.

Wątłe zdrowie tej pani poczęło powoli upadać pod ciężarem ofiary, którą na jej barki wtłoczyła c. k. tabula krajowa, przyznając jej w stanie czynnym dóbr Starowoli *cum attinentiis* własność tego majątku. Słabe jej nerwy rozstroiły się pod brzemieniem ciągłej myśli o doręczonym jej wyciągu tabularnym tak dalece, iż niebawem uczuła gwałtowną potrzebę poratowania nadwątlonego zdrowia. Jakoż, we dwa miesiące po objęciu Starowoli, wyjechała p. Aniela do Ems i Ostendy, zabierając mężowi resztę pieniędzy, które po dokonaniu wypłat i zakupów, z pożyczki u Sumińskiego zaciągniętej, w jego ręku były pozostały.

Najbardziej zadowolonym z obrotu, który wskutek konferencyi wzięła sprawa starowolskiej sukcesyi, był jednak Szklanny Człowiek, rad z tego wielce, iż dzięki ofiarności Ratatyńskiego szklanność jego od rozbicia, a osoba od szkrofulicznych wdzięków panny Klementyny została ocaloną. Z wdzięczności za tę przysługę, a w dodatku oszołomiony nadzieją rychłego posiadania sześciu tysięcy guldenów, skłonił się Władysław bez namysłu do wszystkich ustępstw, przez Ratatyńskiego żądanych, zrzekając się mianowicie aktem cessyjnym na lat trzy prawa żądania jakiejkolwiek dalszej wypłaty kapitału, na hipotece Starowoli, tytułem sześcioprocentowej pożyczki pozostawionego. *Vous concevez mon chèr* że przyjęciem tego warunku zrzekł się Szklanny człowiek wobec swego szwagra wszelkiej samodzielności, i że wzajemny stosunek tych dwojga ludzi, przypominający od tej chwili bajkę Lafontaina, w której garnek gliniany puszcza się w podróż z żelaznym garnkiem, prędzej czy później będzie się musiał skończyć nieuniknioną, a dla szklanności Władysława fatalną kolizyą. Aliści o tem nie myślał Szklanny człowiek wcale; jemu przedstawiał się obrót, który wzięła sprawa sukcesyi w najponętniejszych kolorach, posiadanie sześciu tysięcy zabezpieczało go bowiem od konieczności powzięcia jakiejś stanowczej decyzyi, ostateczność, do której szklanność jego czuła wstręt nieprzezwyciężony.

Oblawszy więc dokonaną tranzakcyą hojnie szampanem, i złożywszy hołd swej wdzięczności Ratatyńskiemu w postaci angielskich szorów, a żonie jego w postaci prześlicznej bransoletki, począł Władysław żyć tak, jak gdyby szczupły jego zasób pieniężny nie miał się nigdy wyczerpać. Tysiąc reńskich obrócił znowu na odświeżenie i uzupełnienie swej garderoby, około półtrzecia tysiąca zaś na urządzenie mieszkania, które najął w teatrze Skarbka, w tym przybytku muz i dyabełka, do którego kilkanaście lat później miała zajechać nasza autonomia.

Cokolwiekbądź przyznać muszę Szklannemu Człowiekowi, że pomieszkanie swe urządził w sposób bardzo gustowny, aczkolwiek trocha fantastyczny. Mianowicie zwracało na siebie uwagę wszystkich znajomych Władysława urządzenie jego sypialni, *une réminiscence des Orientales* Wiktora Hugo, i licznych podówczas w modzie będących wschodnich poezyi; Szklanny Człowiek bowiem umieścił łóżko swoje — olbrzymie mahoniowe łoże — w środku swej sypialni, i rozpiął nad niem namiot adamaszkowy, u wezgłowia swojego zaś ustawił palmę, której zielona korona sięgała aż do sufitu.

Zrozumiesz pan, że człowiek posiadający taką sypialnię, nie może być niczem innem jak tylko poetą; jakoż niebawem przyznała Władysławowi obywatelstwo Parnasu cała stolica, z wyjątkiem kilku sceptyków, nie mogących wcale pojąć jak można zostać wieszczem, niewywieszczywszy ani jednego słówka. Głosy te podnoszące się tu i owdzie nieśmiało, zbijała p. Ptaszyńska zapewnieniem że Władysław pisze w swojem Tusculum poemat, który *z pewnością* zaćmi wszystko to, co dotychczas zostało napisanem, poemat który niezawodnie stanowić będzie erę w literaturze, słowem poemat do jakiejś idealnej wystosowany kochanki, z czterdziestu czterech pieśni złożony a jednozgłoskowemi słowami wyśpiewany.

— *Quel malheur!* — powtarzała bezustannie pani Ptaszyńska — *quel malheur,* że Władysław urodził się Polakiem, a nie Francuzem, albo Anglikiem, *car je ne doute guère,* że poemat jego, gdyby go napisał po francusku lub angielsku, przyniósłby mu europejską sławę. *Ecoutez un peu,* jakie to piękne — dodawała deklamując:

Na rdzie tych burz,
Wśród mórz łez, krwi,

Gdzie drży cień dusz,
Myśl w mgle się lwi,
Nasz kraj wśród chmur
Lśni krwią z ciał gór;
U stóp łez zdrój,
Z ran skrzy mu jad,
Mózg żre wiedźm rój,
By ścierw zły gad...
Ból, kurcz, żal, trud
Rwą pierś — krew wre,
Ćmi wzrok mgła złud itd.

— *C'est sublime* — wołały jednogłośnie zachwycając się panie i panny.

— *N'est-ce pas?* — potwierdziła tryumfująco p. Ptaszyńska.

— Ale czy tylko p. Władysław potrafi utrzymać ten ton apokaliptyczny aż do końca poematu? — odważał się czasami zapytać sceptyk jaki.

— O, potrafi! bezwątpienia potrafi! — zapewniała p. Ptaszyńska. Nie uwierzysz pan jaki to genialny chłopiec.

— *Mais dites donc* — pytano — czy to prawda, *que vôtre neveu* urządził swą sypialnię na sposób oryentalny?

— *C'est la pure vérité!*

— *Ah, mais c'est du Victor Hugo tout pur!* — wołała któraś z pań, chcąc dowieść swej znajomości francuskiej literatury, w owym czasie bowiem czytano jeszcze książki, i miano jeszcze pretensye do pewnego stopnia inteligencyi.

— *Quel talent! quel talent!* — wyrokował chór niewieści.

Zapytasz mnie pan teraz z pewnością jakim sposobem mógł niepiszący poeta na podstawie fantastycznego urządzenia swej sypialni, i przy pomocy jednej, aczkolwiek wielce rezolutnej ciotki, wyrobić sobie w stolicy zjednoczonych królestw Galicyi i Lodomeryi pozycyą literata? Ja z mej strony pozwolę sobie zapytać pana, na jakiej podstawie wyrobił sobie u nas p. Stanisław reputacyą wielkiego stratega, p. Paweł reputacyą znakomitego statystyka i ekonomisty a p. Józef reputacyą uczonego fizyologa? Obiedwie te zagadki ja panu wytłumaczę: Oto każda u nas powaga powstaje *d' une manière spontanée*, i rządzą u nas jeszcze w tej mierze prawa *generationis aequivocae*, objaw będący niezawodnie najlepszym dowodem słuszności darwinowskich hipotez o początku wszechświata. Chcąc zostać powagą w tym lub owym zakresie sztuki, lub nauki, potrzebujesz pan tylko śmiało, odważnie i bez fałszywej skromności oświadczyć narodowi: „Oto ja Iksypsylonzet jestem wielkim w tym a tym to zawodzie!“ a jeżeli pan masz dwóch, trzech, czterech przyjaciół, którzy oświadczenie to twoje swojem poprą świadectwem, natenczas twoją już jest wygrana! Ogół przyjmie to za dogmat swej wiary, nie wdając się wcale w krytyczny rozbiór twoich uroszczeń, bo komuż n. p. zechce się sprawdzać, o ile akuratnem jest twoje zapewnienie, że w Galicyi rodzi się dajmy na to 151,987,654 kóp i $15\frac{1}{2}$ snopa pszenicy?

Otóż jeżeli w dziedzinie tak ścisłej nauki, jaką jest statystyka można sobie przy pewnej śmiałości i konsekwencyi wywalczyć zaszczytne stanowisko, o ileż łatwiej zdobyć sobie uznanie na polu sztuk pięknych, a mianowicie poezyi, u nas, gdzie właściwie nie ma żadnej krytyki i możliwą jest każda estetyczna teorya. nie wyłączając nawet teoryi p. Stanisława Tarnowskiego, według której poeta zaczyna się dopiero od hrabiego.

Szklanny Człowiek, „wykolportowany“ przez ciotkę swoję na znakomitego poetę, począł używać rozkosznych owoców swojej na pniu już sprzedanej zasługi, *en promenant sa popularité* w teatrze, cukierniach i salonach naszej stolicy. Powiedział to, jeżeli się nie mylę, Balzac, że chcąc się stać popularnym, potrzeba przedewszystkiem *se faire un visage*, t. j. urządzić postać swoję i twarz w taki sposób, aby ile możności zdolne były zwrócić na siebie uwagę i wbić się w pamięci publiczności. Otóż trudu tego nie potrzebował sobie zadawać nasz Władysław, matka przyroda bowiem dała mu była włosy nadzwyczaj jasnego, prawie białego koloru, co mu, nawiasem mówiąc, wcale nie ujmowało wdzięków, lecz owszem ze zdrową jego, rumianą cerą tworząc kontrast oryginalny, mianowicie w niewieścich kołach liczne zjednywało sympatye. Jeżeli pan do tego dodasz melancholijnie patrzące niebieskie oczy, postać smukłą, ruchy zgrabne. i pełne pewnej arystokratycznej dystynkcyi, tytuł literata co podówczas nie było jeszcze tak jak dziś zdyskredytowanem. dalej imię piękne (Podborscy są herbu Habdank i zaliczają się do najstarszych rodów naszej prowincyi) nakoniec owe cokolwiek już do bajecznych dziejów należące dwadzieścia tysięcy, to zrozumiesz pan, że go niejedna matka uważała za partyą w danych okolicznościach dla swej córki stosowną, i że go panny zaliczały do pożądańszych epuzerów, zwłaszcza że w onym czasie nie wielu we Lwowie było majętniejszych a równie dobrze urodzonych młodzieńców. Aliści wszystkie zabójcze spojrzenia, i zalotne uśmiechy, któremi się z licznych stron starano przeszyć pierś naszego bohatera, odbijały się o szklanny pancerz serce jego otaczający. Władysław żył tylko muzom, popularności swojej, i bilarowi, na którem to ostatnim polu doprowadził był do wysokiej doskonałości.

W niebie jednakże było napisanem, że sielanka ta wiecznie trwać nie może, i właśnie w chwili kiedy się nasz bohater najmniej tego spodziewał miał w piersi jego ugodzić piorun, który szklanność jego na najwyższe narazić miał niebezpieczeństwo.

(C. d. n)

POWSTANIE POLSKIE
nad
BAJKAŁEM.

Z pamiętników naocznego świadka Z. O.

(Ciąg dalszy.)

Rozpalono ogniska. Zapałek zasób zachował się szczęśliwie a był to jedyny środek ochronny przed nieuniknioną zagubą! Nagle jakieś niedalekie łamanie gałęzi, jakby dla otwarcia drogi czynione, doszło do uszu na pół zasypiających rozbitków. Po dwudziestu dniach pustelniczych błądzeń, to echo żyjącej istoty choćby nią i zwierzę było, rozbudzało przyjemne uczucie. Nieporuszyli się jednak z miejsca, nieobejrzeli się nawet w owę stronę a szelest głośniejszym się stawał i nareszcie wyraźne stąpania ludzkie wstrzęsły ich nerwami. Moskale niezawodnie trop zwietrzyli i podkradają się aby pochwycić swoje ofiary!

Silnie podniecany ogień rozwijał obłoki dymu wznoszące się ponad wysokie drzewa puszczy, odkrycie więc miejsca nie było trudnem. Nie byli to jednak Moskale, lecz ostatni wygnańcy z roz padłej partyi Celińskiego; mieli oni broń palną i pewien zapas nabojów, niedoznali więc tak ciężkiego losu. Przypatrzywszy się kolegom w których poznali konających, widząc że im nic pomódz nie mogą. oddalili się cichaczem od tego okropnego miejsca, zostawiając owych piętnastu ich smutnemu losowi a dla siebie szukając lepszej drogi.

Pozostawieni własnemu losowi, przetrwali tak jeszcze dni cztery zjadając coraz to inne rośliny i korzonki, jakie w drodze swej natrafiali, a w miarę sił posuwając się ciągle ku południowi. Dwudziestego czwartego dnia puszcza przerzedzać się zdawała, błękit pomiędzy drzewami zaczął przebijać i naraz stanęli na obszernej niezarosłej płaszczyźnie, na której ujrzano buryackie jurty.*) Na widok pomieszkania wrażego Moskalom plemienia podobnie uciemiężonego jak my Polacy, radość objęła wszystkich i pospieszono do nich jako do zbawców braci swoich. Lecz jakże strasznym był zawód, gdy po zbliżeniu pokazało się, że owe jurty są zupełnie opuszczone! Mieszkańcy ich, na rozkaz Moskwy zawezwani zostali do obławy na polskich *miateżników*. Aby zaś podsycić więcej dzikie usposobienie rozpuścili Moskale tysiączne brednie o drapieżnej naturze Polaków.

„Polacy mówili oni, są to rabusie, którzy uciekli z więzień ażeby spalić, zrabować i wyciąć was i waszym dobytkiem się podzielić“. Nic dziwnego, że Buryaci w obronie własnej wystąpili, i z całą zaciekłością i wrodzoną dzikością mordowali schwytanych powstańców.

Nasza piętnastka, nie zatrzymując się koło opuszczonych pomieszkań podążyła dalej i tu spotkał ich widok najprzyjemniejszy jaki w tej chwili mieć mogli: niedaleko jurt pasło się bydło do Buryatów należące. Bez żadnego porozumienia się jednomyślnie rzucili się wszyscy w tę stronę a porwawszy jednę sztukę podążyli z nią w dalsze gąszcza lasów. Byli prawdziwie uszczęśliwieni zdobyczą; w jednej chwili ofiara leżała bez życia u stóp rozpromienionych rozbitków a ogień rozłożony dopełnił reszty, aby ucztę w należyty sposób do spożycia przygotować.

W przeciągu tego jednego dnia z całego wołu nie pozostało ani śladu. O jutrze nikt nie myślał. Przy wspaniałej biesiadzie zapomnieli o wszystkich przejściach i z miłem wspomnieniem uczty, każdy zabrał się do odpoczynku i snu, trwającego do dnia następnego.

Nazajutrz puls bił silniej i z nim razem wracały siły. Na jednem miejscu jednakże nie można było pozostać; postanowiono więc udać się w podróż w towarzystwie przynajmniej jeszcze jednej sztuki bydła, aby zabezpieczyć się od głodu, który groził znowu nieochybnie. Nim jednakże zdołali doprowadzić zamysł do skutku, zaskoczyły inne wypadki, które oszczędziły rozbitkom dalszych mąk i trosk o nędzne życie.

Pomiędzy Kjachtą a południowem wygięciem Bajkału, na samem południu Syberyi wyciągnęli Moskale bezzwłocznie kordon przed gra-

*) Jurty, pomieszkania letnie Buryatów ucywilizowanych przez Moskwę; są one z drzewa bez okien, zapadłe do połowy w ziemię, z jednym otworem dla wejścia z drugim zaś w środku przez który wychodzi dym od ognia palącego się bezustanku.

nicą chińską zaraz gdy pierwsi powstańcy opuścili Kułtuk, aby niedopuścić ich przekroczenia do Chin. Kordon ten zwany *Mongolskim* liczył 3 brygady kozaków, kilka armat i oprócz tego posiadał rezerwę kilkotysięczną konnych Buryatów znanych jako wybornych strzelców. Cała ta czerń zajmowała podgórza, zkąd jej łatwiej obserwować było, przypuszczalne ruchy polskich powstańców, których sobie Moskale tysiącami całemi wyobrażali. O taki mur kozactwa, rozciągnięty na kilkudziesięciu wiorstach, powstańcze usiłowania przedarcia się do Chin musiałyby się zawsze rozbić, chyba żeby ich rzeczywiście były całe tysiące. Te oderwane jednostki powstańców, które nie uległy śmierci lub nie popadły w ręce moskiewskie pod Miszyszychą i które dążyły do Chin, oczekiwał tutaj ten sam las nieubłagany co i tam, z tą różnicą, że zgubę na południowej stronie poprzedzały kilkudniowe męczarnie i wysiłki nadludzkie, które okropniejsze były niż prędka śmierć lub znęcania się moskiewskie.

Zaledwie nasi wędrowcy posunęli się ku miejscom, które wczoraj jeszcze zdawały się być pustemi, już na ich ślad wpadły przednie straże kordonu; brak bydła był potwierdzającą wskazówką. Przyczajeni, niechcąc zapuszczać się za Polakami w gąszcza, wyczekiwali pewniejszego ciosu i gdy nasi nieprzewidując grożącego niebezpieczeństwa posuwają się dalej, w obranym kierunku, naraz wśród najprzeraźliwszych dzikich wrzasków, klątw mongolskich chrypliwemi gardłami wydawanych, wśród strzałów gradowych na oślep lecących, spadają lawiną Mongoły i Kozacy, otaczając piętnastu Polaków całym natłokiem zmieszanej hordy coraz więcej wzrastającej świeżemi jeźdzcami walącymi się z gór pobliskich! Zdawało się, że całe piekło zatrzęsło się w posadach, śląc na zniszczenie świata zastępy swoich szatanów! Wzrok, słuch, całe czucie stępieć musiało w tej chwili pod razami pletni, kolb, które spadały na wyniszczone ciała powstańców! Ubito kilku na miejscu, resztę ciężko poranionych, pokrępowanych, sznurami, pokutych żelazami rzuciła dzicz na jedną kupę jak bydlęta na rzeź przeznaczone. Rozbiegła się zaraz po puszczy ta wściekła psiarnia, szukając więcej Polaków. Po długim czasie wracali zwolna sami, złorzecząc monotonnemi piskliwemi okrzykami Polakom; ażeby zaś sobie wynagrodzić daremne trudy chcieli się zabrać do wymordowania zwalonych na boku jeńców. Asawuły kozaccy wstrzymali te bohaterskie zapędy, napomnieniem, że „Car kazał żywcem Polaków dostawić“. Utworzyli więc oddział, w środek wepchnęli zkatowanych więźniów i nieżałując pik kozackich i pletni pędzili niecały już dziesiątek męczeński do Sielengińska. Cała ta droga była jedną strugą krwi zbroczona, nie oni tu szli pierwsi! Pędzono Polaków pospiesznym marszem po 30 wiorst dziennie.

Z Sielenginska wskazano im drogę do Pussolska gdzie już zgromadzeni byli więźniowie. Była to partya Celińskiego w liczbie przeszło pięćdziesięciu, którą w ten sam sposób schwytano. W Pussolsku pierwszy raz rozdano chleb pieczony pomiędzy więźniów, lecz gdy go chciwie zjadać zaczęli, doznali tych samych skutków co przy otruciu; puchnąc obok tego przestraszająco.

Pochwytanych więźniów zatrzymano w Pussolsku zaledwie kilka dni a popuchniętych, z krwi nieobmytych, do gołego ciała obdartych, skutych w łańcuchy, w liczbie sześćdziesięciu odprowadzono na brzeg Bajkału, gdzie statek oczekiwał na ich przybycie mając przepłynąć z nimi do Listwiennicznej, zkąd pieszo udać się mieli w dalszą drogę do Irkucka. Były to rzeczywiste ostatki powstańców schwytane w miesiąc po dokonanym wybuchu nad Bajkałem.

Dla uzupełnienia całości opowiadań wydarzeń Zabajkalskich, pozostaje nam jeszcze wspomnieć o Celińskim wraz z jego partyą, którą odkradł Szaramowiczowi pod Miszychą. Jak wiadomo, partya ta licząca stu konnych nie źle uzbrojonych i zaopatrzonych w żywność powstańców, podążyła z Celińskim do Kułtuku tą samą drogą jaką przechodzili zbierający się powstańcy wzdłuż brzegów Bajkału. Celiński przechodząc koło stacyi pocztowej, na której siedzieli aresztowani półkownicy Szac i Czerniajew, zabrał straż powstańczą od nich, obdarowując ich zupełną wolnością. To uwolnienie dziwnem się wydało Moskalom; szczególniej Czerniajew, z obawy aby w jakie gorsze sidła nie popadł niechciał się ruszyć z miejsca i nadal pozostał na niem, Szac przeciwnie skorzystał z amnestyi Celińskiego i gdy oddział dalej pomaszerował, wynalazł sobie przypadkowo jakiegoś brodiagę Moskala za towarzysza, a dopadłszy na brzegu łodzi rybackiej, wsiadł w nią i trzymając się lądu, płynął niepostrzeżenie a zawsze na jednej linii z oddziałem powstańczym Celińskiego.

Gdy ten ostatni zbliżał się do Murymu, z przeciwnej strony posuwały się również ku Murymowi dwie sotnie kozaków i tyleż opołczenia buryackiego pod dowództwem majora kozackiego Lisowskiego. Ten oddział jazdy moskiewskiej wysłany był z kordonu Mongolskiego na pomoc piechocie Ricka, aby zająć tył powstańcom i wspólnie z Rickem rozpocząć atak z dwóch stron. Pułkownik Szac płynąc Bajkałem dostrzegł posuwające się oddziały moskiewskie, czego powstańcy z zarosłego lądu widzieć nie mogli; wysyła więc swego towarzysza do kozaków z ostrzeżeniem, że Polacy idą na ich spotkanie. Lisowski odebrawszy taką wiadomość od Szaca i niechcąc narażać się na rozbicie, nawraca się napowrót pod zasłonę kordonową mianowicie do Kułkuku i tam z całą przezornością oczekuje nadejścia powstańców. Celiński podobnież spostrzegłszy w dalszym swym marszu pikiety moskiewskie i przypuszczając, że siły ich znacznie są większe, cofa się, i rozdzieliwszy swój oddział na dziesiątki, ze swobodą dalszego kierowania się bez oglądania się na drugich, sam z trzydziestoma puszcza się w stronę wschodnią, licząc na łatwiejsze przedarcie się małego oddziaiku przez granicę do Chin. Mniej więcej wszystkie inne dziesiątki ten sam kierunek przyjęły a gdy zanadto zbliżyli się pod łańcuchy strzegące granic, w niespełna dwóch dniach prawie wszyscy stali się łupem czatującego na nich kozactwa. Rozjuszone załogi kordonowe, samą swą liczebną siłą zgniatały nadchodzące dziesiątki, które też zmiejszyły się o połowę przez wycięcie tych wszystkich, którzy nie chcieli się poddać.

Z całej partyi Celińskiego, zostało kilkunastu, którzy szli osobno, których jednak ten sam los spotkał tylko później, po przejściu długich cierpień głodowych.

Ale nie na tem jeszcze skończyły się sceny męczeństwa za Bajkałem. Wszystko co dotąd opisałem dotykało tylko tych, którzy z bronią w ręku, chcieli wywalczyć sobie byt i wolność. Srogość Moskwy dotknęła nadto tych, którzy całkiem pozostali na uboczu.

Niedoczekawszy się powstańców Lisowski z kozakami w Kułtuku poszedł dalej w pierwszym kierunku do Murymu. Jak wiadomo bałagany mieszczące tam katorżników nie były opróżnione, zostali w nich bowiem chorzy i inni nie chcący należeć do powstania, a oprócz tego były jeszcze rozbrojone straże, które dziwaczny los połączył z losem więźniów. Czwartego dnia po opuszczeniu Murymu przez zbrojną partyę Szaramowicza, podczas gdy więźniowie wraz z sołdatami, jak zwykle od czasu powstania, zasiedli do samowarów krzepiąc się czajem i sucharami pozostałemi jeszcze w zapasie, Lisowski nie wiedząc co zaszło, wpadł na nich z bandą kozaków. Bezbronni żołnierze, na widok swoich, zerwali się na równe nogi, chcąc biegnąć do majora Lisowskiego ze złożeniem relacyi o zaszłych wypadkach, gdy ten tymczasem wpada z rewolwerem w ręku i kładzie trupem pierwszego sołdata zbliżającego się ku niemu, a kozakom każe resztę żołnierzy Murymskich do drzew poprzywiązywać w celu rozstrzelania ich; poczem trzymając w jednej ręce pałasz, w drugiej rewolwer i prowadząc za sobą sołdatów z bagnetami, rzuca się na więźniów. (C. d. n)

CZARNE INDYE.

(W przepaściach ziemi).

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuskiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

I.

Dwa sprzeczne listy.

„Do pana J. R. Starr,
inżyniera,
ulica Canongate, 30.
w Edymburgu.“

„Jeżeli pan inżynier Starr zechce przybyć jutro do kopalni węgla Aberfoyle (komora Dochart, szyb wjazdowy Yarow), udzieloną mu zostanie nader ważna wiadomość.

„Na stacyi kolei w Callander oczekiwać będzie przez cały dzień na pana inżyniera, Henryk Ford, syn Szymona Ford, byłego obermana*).

„Uprasza się o zachowanie niniejszego w tajemnicy.“

Taki list otrzymał inżynier Starr rano 3 grudnia 18..., — na kopercie znajdowała się pieczęć stacyi pocztowej Aberfoyle, w hrabstwie Stirling, w Szkocyi.

List ten zaciekawił inżyniera do żywego; ani przez myśl mu nie przeszło, aby otrzymane wezwanie mogło być bez wielkiego znaczenia, obliczone jedynie na jego łatwowierność; od wielu lat bowiem znał on Szymona Ford, jednego z najdawniejszych robotników w kopalni Aberfoyle, której sam był przez lat dwadzieścia dyrektorem, „viewer“ jak mówią w kopalniach angielskich.

Inżynier James Starr, mężczyzna silnie zbudowany, pomimo pięćdziesięciu pięciu lat wieku, z pozoru nie wyglądał więcej jak na czterdzieści. Pochodził on z jednej z najstarszych rodzin edymburgskich, która słusznie chlubić się nim mogła jako członkiem przynoszącym jej prawdziwy zaszczyt. Prace jego wielce cenione były przez

*) Oberman albo nadsztygar, starszy robotnik dozorujący robotami w kopalni.

szanowne stowarzyszenie inżynierów nurtujących w czarnych podziemiach Zjednoczonych królestw, czy to w Cardiff, czy w Newcastle, czy też w samej Szkocyi. Przeważnie jednak nazwisko inżyniera Starr zjednało sobie powszechne uznanie eksploatacią węgla szczególniej w kopalni Aberfoyle, zajmującej znaczną przestrzeń w hrabstwie Stirling i graniczącej z kopalniami Alloa. Tam upłynęło prawie całe jego życie, pełne niezmordowanej działalności. Oprócz tego James Starr był prezesem Towarzystwa archeologów szkockich i jednym z najgorliwszych członków „Instytutu królewskiego,“ a *Przegląd Edymburgski* umieszczał częstokroć znakomite artykuły opatrzone jego podpisem. Pokazuje się ztąd, że inżynier Starr należał do rzędu owych praktycznych uczonych, którym Anglia zawdzięcza swoję pomyślność i powodzenie. Zajmował on wysokie stanowisko w tej starej szkockiej stolicy, co tak pod względem materyalnym jak i moralnym, zjednała sobie imię „Aten Północy.“

Anglicy nazywają kopalnie węgla w ogólności „Indyami czarnemi“ i bezwątpienia Indye te więcej przyczyniły się do niezmiernego rozwoju bogactw i zamożności Zjednoczonych królestw aniżeli złotodajne Indye wschodnie. W istocie, w kopalniach tych, cały naród górników pracuje dniem i nocą nad wydobywaniem z łona brytańskiej ziemi drogocennego paliwa, będącego duszą całego przemysłowego ruchu.

W owej epoce nie zachodziły jeszcze obawy o brak węgla; na obu półkulach świata znajdowały się niewyczerpane jego pokłady i coraz nowe odkrywano kopalnie. Różnorodnym zakładom fabrycznym, lokomotywom, lokomobilom, statkom parowym, fabrykom gazu i t. p. nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo: materyał palny mogły mieć zawsze w dostatecznej ilości; ale w ostatnich czasach konsumcya węgla wzrosła tak znacznie, że niektóre pokłady wyczerpane zostały do ostatniej żyłki i jako bezużyteczne nadal, opuszczono je i zaniedbano zupełnie.

W takim właśnie stanie znajdowały się kopalnie węgla w Aberfoyle.

Przed dziesięciu laty wydobyto z nich ostatni kibel *) węgla; bezpośrednio za tem wyprowadzono z pod ziemi przyrządy mechaniczne, wozy komunikacyjne, tramwaje, maszyny parowe z szybów dobywalnych, jednem słowem wszystek materyał konieczny do utrzymania eksploatacyi w nieprzerwanym ruchu, a wyczerpana kopalnia, opustoszała i zaniedbana nagle, przedstawiała się jakby martwe zwłoki olbrzymiego mastodonta, z którego, po odjęciu różnych życiowych organów, jedynie szkielet pozostał.

Ze wszystkich tych przyrządów zatrzymano tylko długie drewniane drabiny w szybie Yarow, prowadzące do głównej komory zwanej Dochart, i stanowiące jedyny środek komunikacyjny pomiędzy wnętrzem kopalni i powierzchnią ziemi.

Zewnątrz, drewniane budynki w miejscach, gdzie dawniej odbywały się roboty „górne“, sterczały również ponure i opuszczone jak i samo wnętrze kopalni.

Smutny to był dzień, gdy górnicy opuszczali po raz ostatni kopalnię, w której przez lat tyle byli zatrudnieni.

Na wezwanie inżyniera Starr, w obszernej komorze Dochart, niegdyś przepełnionej stosami węgla, zebrało się parę tysięcy pracowników, składających czynną i dzielną ludność kopalni. Dozorcy, przewoźnicy, konduktorowie, podkopywacze, górnicy, odbieracze węgla, futrownicy, kowale, cieśle, maszyniści, zasadzacze *) i obermani, słowem wszyscy, mężczyźni i kobiety, dzieci i starcy, przyszli tu pożegnać się raz jeszcze z dyrektorem, zanim opuszczą na zawsze kopalnię, w której od lat niepamiętnych, z ojca na syna, mieli stałe zajęcie i utrzymanie. Towarzystwo rozdzieliło pomiędzy wszystkich pracujących w kopalni tytułem gratyfikacyi cały dochód z ostatniego roku. Nie wielki wprawdzie był to zasiłek, gdyż wydajność żył węglowych będących już na wyczerpaniu o mało przewyższyła koszta eksploatacyi, w każdym razie wystarczał im na czas, dopókiby nie znaleźli zajęcia w kopalniach sąsiednich, albo też na folwarkach lub zakładach fabrycznych.

Inżynier stał na progu obszernej szopy, w której przez długie lata mieściły się potężne maszyny parowe spełniające czynności szybu dobywalnego.

Obok niego stał oberman komory Dochart pięćdziesięciopięcioletni Szymon Ford, i kilku innych dozorców robót.

James Starr zdjął kapelusz. Górnicy z odkrytemi również głowami, zachowywali głębokie milczenie.

Była to scena rozrzewniająca i pełna uroczystej powagi.

— Moi przyjaciele — przemówił inżynier — nadeszła dla nas chwila rozłączenia się. Kopalnie Aberfoyle, wspólna praca wśród których jednoczyła nas przez lat tyle, są już teraz wyczerpane. Poszukiwania nasze nowych pokładów nie doprowadziły do żadnego rezultatu i oto przed nami ostatnia bryła węgla wydobyta z komory Dochart!

I w poparciu słów swoich, wskazał ręką odłam węgla leżącego na dnie kibla zawieszonego na łańcuchu.

— Ten kawałek węgla, moi przyjaciele — mówił dalej — to jakby ostatnia kropla krwi krążącej w żyłach naszej kopalni. Zachowamy go tak samo jak zachowaliśmy pierwszą bryłę węgla wydobytą z pokładów Aberfoyle przed stu pięćdziesięciu laty. Ileż to pokoleń pracowało kolejno pomiędzy tą pierwszą i ostatnią bryłą! Teraz już wszystko skończone! Żegnam was, towarzysze, a żegnam po raz ostatni! Liczna rodzina nasza rozproszy się po świecie, bez nadziei nawet, abyśmy kiedyś połączyli się znowu. Ale nie zapominajcie nigdy, że przez długie lata żyliśmy razem, i że pierwszym obowiązkiem górników z Aberfoyle była i jest zawsze wzajemna pomoc. Nie zapomną o tem i dotychczasowi przewodnicy wasi. Będziemy czuwać nad wami, i gdziekolwiek udacie się, wszędzie towarzyszyć wam będzie nasze poparcie i dobra rekomendacya. Bywajcie zdrowi przyjaciele, i niechaj niebo wspiera was w dalszej wędrówce życia!

Powiedziawszy to, inżynier uściskał najstarszego górnika, a jednocześnie oczy wszystkich obecnych zwilżyły się łzami rozrzewnienia. Następnie obermani różnych komor podchodzili kolejno do inżyniera, aby po raz ostatni uścisnąć jego rękę, robotnicy zaś wywijali kapeluszami wołając:

— Niech żyje James Starr, naczelnik i przyjaciel nasz!

Pożegnanie to wywarło niezatarte wrażenie w sercach zacnych tych ludzi, co zwolna i ze smutkiem zaczęli opuszczać obszerne podziemia. W czarnym chodniku prowadzącym do szybu Yarow, ostatni raz rozległy się kroki górników, a chwilę później głucha cisza zapanowała w tak ożywionej i głośnej dotąd kopalni.

Przy inżynierze jeden tylko pozostał człowiek.

Był to oberman Szymon Ford. Tuż obok stał syn jego, piętnastoletni Henryk, od kilku lat już używany do robót podziemnych.

James Starr i Szymon Ford znali się oddawna, a znając się, musieli się szanować wzajemnie.

— Bądź zdrów, Szymonie — rzekł inżynier.

— Żegnam pana, panie James — odpowiedział oberman — albo raczej, pozwól mi pan powiedzieć: Do widzenia!

— Tak, tak, Szymonie, do widzenia! — powtórzył Starr. — Wiesz przecież, że zawsze rad będę zobaczyć się z tobą i pogawędzić o lepszych czasach naszej kochanej Aberfoyle.

— Jestem o tem przekonany, panie inżynierze.

— Dom mój w Edymburgu, zawsze stoi dla ciebie otworem!

— Do Edymburga bardzo daleko! — odparł Szymon potrząsając smutnie głową.

— Jakto, daleko? Gdzież więc myślisz zamieszkać, Szymonie?

— Tutaj pozostanę, panie James! Nie opuściłbym nigdy kopalni, mojej starej karmicielki, dlatego, że utraciła już swój pokarm. Żona moja, mój syn i ja, postaramy się być jej wiernemi aż do końca naszego życia!

— Żegnam cię więc Szymonie! — odpowiedział inżynier głosem zdradzającym mimowolne wzruszenie.

— Nie, panie, nie żegnamy się na zawsze! raz jeszcze powtarzam: Do widzenia, panie inżynierze! Bo jak-em Szymon Ford, pewny jestem, że zobaczymy się jeszcze w Aberfoyle!

Inżynier nie chciał pozbawiać obermana ostatnich miłych złudzeń. Pocałował młodego Henryka, spoglądającego nań załzawionem okiem, uściskał raz jeszcze rękę Szymona i pospiesznie oddalił się z kopalni.

Otóż co zaszło na dziesięć lat przed chwilą, w której rozpoczyna się nasze opowiadanie; pomimo jednak uroczystego zapewnienia obermana, że się spotkają w kopalni, dotąd inżynier nie miał o nim najmniejszej nawet wieści.

I oto po dziesięciu latach rozłąki, nadchodzi od Szymona Forda list, wzywający go, aby bez zwłoki czasu pośpieszył do opuszczonej kopalni.

Cóż to może być takiego ta ważna wiadomość? Komora Dochart, szyb Yarow? ileż wspomnień rozlicznych wzbudzają w myśli te nazwy! O tak! dobre to były czasy, czasy pracy, walki z przyrodą — najmilsze chwile inżynierskiego zawodu!

James Starr odczytywał list kilkakrotnie. Starał się odgadnąć ukrytą w nim myśl, ale napróżno. Jakże żałował, że Szymon Ford nie dodał chociaż jednego wiersza więcej! Gniewał się prawie na niego za ten lakonizm.

Czy było rzeczą możliwą, aby stary oberman, odkrył jaki nowy pokład węgla? Nie!

Inżynier przypominał sobie z jaką troskliwością zbadane były kopalnie Aberfoyle przed stanowczem zawieszeniem robót. On sam brał

*) Kibel, naczynie używane do wyciągania węgla z kopalni.

*) Tak się nazywają robotnicy w kopalniach zapełniający ziemią lub kamieniem, próżne miejsce po wybranym węglu.

udział w ostatnich sondowaniach i nabrał niezłomnego przekonania, że kopalnia nie zawiera już w sobie ani odrobiny paliwa.

— Nie, to niepodobna! — powtarzał sobie. Jakże można przypuścić, że Szymon Ford znalazł coś takiego coby się ukryło przed mojemi poszukiwaniami? Stary oberman powinienby jednak wiedzieć, że jedna tylko w świecie wiadomość może być ważną dla mnie.... a to zaproszenie mnie do komory Dochart... zaproszenie, które zachować mam w tajemnicy....!

Było to zagadką trudną do rozwiązania.

Z drugiej strony, Szymon Ford znanym był inżynierowi jako zdolny górnik, obdarzony z natury wszelkiemi przymiotami wymaganemi w tym zawodzie. Nie widział go od chwili opuszczenia robót w kopalni Aberfoyle. Nie wiedział nawet gdzie się obraca stary oberman. Nie umiałby powiedzieć czem się zajmuje obecnie i gdzie mieszka wraz z żoną i synem. Tyle tylko wiedział, że schadzka naznaczona była w szybie Yarow i że Henryk syn Szymona Ford, oczekiwać ma na niego przez cały dzień jutrzejszy na stacyi kolei w Calander. Widocznie więc idzie tu o zwiedzenie komory Dochart.

— Pojadę, muszę pojechać! — powtarzał sobie James Starr, czując się z każdą chwilą coraz bardziej rozdrażnionym.

Zacny bowiem nasz inżynier należał do rzędu owych ludzi, których rozgorączkowany umysł w ciągłem pozostaje wrzeniu, jak wre woda w kociołku wystawionym na działanie ognia. Otóż w dniu tym, wskutek listu obermana, kociołek z myślami inżyniera znajdował się na pełnym ogniu.

Zaszła tu jednak zupełnie niespodziewana okoliczność. Była to jakby kropla zimnej wody, co miała chwilowo stłumić gorączkowy jego zapał.

Około godziny siódmej wieczorem służący wręczył mu drugi list, nadeszły pociągiem popołudniowym.

Adres wypisany na kopercie charakterem niezgrabnym i nieczytelnym, zdradzał rękę niezbyt wprawną w kierowaniu piórem.

Inżynier rozdarł kopertę. Wewnątrz znajdował się tylko kawałek zżółkłego papieru, wydartego widocznie z jakiegoś starego zużytego zeszytu.

Na papierku tym skreślone były jedynie te słowa:

„Inżynier James Starr nie potrzebuje się trudzić, albowiem list Szymona Ford nie ma już obecnie żadnego znaczenia.“

Bez podpisu. —

II.

Podczas drogi.

Drugi ten list, tak sprzeczny z pierwszym, wywołał nagły niepokój w umyśle inżyniera.

— Co to ma znaczyć? — zapytał sam siebie.

Podniósł z ziemi na wpół rozdartą kopertę. Tak samo jak na poprzedniej znalazł na niej pieczątkę poczty w Aberfoyle. Pochodziła więc z tego samego miejsca; nie adresował jej jednak stary górnik — to nie trudno było poznać po piśmie. Niemniej jednak widocznem było, że autor drugiego listu znał tajemnicę obermana, skoro tak stanowczo odradzał inżynierowi udanie się w podróż do szybu Yarow.

Miałożby więc być prawdą, że pierwsza wiadomość nie ma żadnego znaczenia? Czy miano tylko na celu przeszkodzenie inżynierowi aby się nie trudził, potrzebnie czy niepotrzebnie! Niebyłoż to raczej złośliwe usiłowanie zniweczenia planów Szymona Ford?

Wszystkie te przypuszczenia należało głęboko rozważyć. Po rozwadze, nastąpiło to, co zwykle w podobnych razach następuje. Sprzeczność sama zachodząca pomiędzy dwoma listami, wzbudziła w inżynierze tem większą chęć zwiedzenia opuszczonej kopalni. Zresztą, chociażby miała to być tylko mistyfikacya, to i tak lepiej samemu się o tem na miejscu przekonać. W każdym razie — zauważył James Starr — właściwszem jest więcej wierzyć pierwszemu listowi aniżeli drugiemu — to jest, mieć więcej zaufania do słów takiego człowieka jak Szymon Ford, aniżeli dać się powodować ostrzeżeniami jakiegoś anonyma.

— W istocie — mówił sam do siebie — skoro chcą wpływać na moje postanowienie w tej sprawie, wiadomość jaką ma mi udzielić Szymon Ford musi być niezwykłego znaczenia. Bądź co bądź, stawię się jutro w naznaczonem miejscu.

Wieczorem James Starr przygotował się do podróży. W przewidywaniu że nieobecność jego może kilka dni się przeciągnąć, uprzedził listownie sir Elphistona prezesa „Instytutu królewskiego“, iż nie będzie mógł uczestniczyć w najbliższem posiedzeniu Towarzystwa. Podobnież załatwił się z kilku innemi sprawami, jakiemi miał się zajmować w ciągu nadchodzącego tygodnia i poleciwszy służącemu aby przysposobił mu torbę podróżną, położył się spać, bardziej może wzruszony aniżeli zasługiwała na to cała ta sprawa.

Nazajutrz, o godzinie piątej rano, zerwał się z łóżka, ubrał się ciepło — deszcz bowiem padał i dzień był zimny — i opuściwszy dom swój na Canongate, udał się do Granton-pier, aby wsiąść na statek parowy, który w ciągu trzech godzin dopływa rzeką Forth aż do Stirling.

Może po raz pierwszy w życiu, James Starr, przebywając ulicę Canongate*), nie odwrócił się aby rzucić okiem na Holyrood, starożytny pałac dawnych królów Szkocyi. Nie widział również przechadzającej się w galeryach zewnętrznych straży przystrojonej w odwieczny kostium szkocki: spódnicę z zielonej materyi, plaid kraciasty i worek skórzany zawieszony na biodrach. Jakkolwiek zapalony wielbiciel Walter-Scotta, tak jak każdy prawy syn Kaledonii, dziś inżynier nie spojrzał nawet na oberżę, w której zatrzymał się niegdyś Waverley i do której przyniósł mu krawiec ów sławny płaszcz wojskowy, tak naiwnie podziwiany przez wdowę Flockhart. Nie pozdrowił małeńkiego placu, na którym po zwycięstwie odniesionem przez Pretendenta, górale wystrzeliwali naboje z wielkiem niebezpieczeństwem dla Flory Mac Ivor. Napróżno zegar słynnego więzienia Edymburskiego wabił go w środku ulicy okrągłem swem, poważnem obliczem; spojrzał nań tyle tylko aby się przekonać, że godzina odjazdu jeszcze nie wybiła. Wyznać także należy, że na Nelher-Bow nie zatrzymał się przed domem wielkiego reformatora Jana Knoxa, jedynego człowieka, którego nie zdołał skusić czarodziejski uśmiech Maryi Stuart. Ale zboczywszy w Highstreet, ulicę tak drobiazgowo opisaną w *„Opactwie“*, podążył w stronę olbrzymiego mostu na Bridge-street, łączącego trzy pagórki na których wznosi się Edymburg.

W kilka minut później James Starr przybył na dworzec „General railway“, a w pół godziny pociąg kolei dowiózł go do New-Hawen, pięknej rybackiej wioski, położonej w odległości jednej mili od ujścia rzeki Forth, stanowiącego właściwy port Edymburga. Przypływ morza zakrywał podówczas czarniawe i skaliste pobrzeże, a fale wody rozbijały się o pomost przymocowany do lądu łańcuchami. Nieopodal, przy Granton-pier, stał na kotwicy jeden z parostatków utrzymujących komunikacyą na rzece Forth pomiędzy Edymburgiem i Stirlingiem.

Komin *Księcia Walii* wyrzucał gęste kłęby czarnego dymu, przyczem głuche wrzenie kotła zapowiadało zbliżającą się chwilę odjazdu. Dzwonek zadźwięczał, a na to hasło przybiegli niebawem liczni podróżni; byli to po większej części kupcy, dzierżawcy wiejscy i duchowni, których nie trudno było rozróżnić po krótkich spodniach, długich surdutach i wąziutkich białych paskach, okalających ich szyje czarnemi skrępowane kołnierzami.

James Starr znalazł się jednym z pierwszych na pokładzie *Księcia Walii*. Pomimo ulewnego deszczu żaden z podróżnych nie szukał schronienia w kajucie parostatku. Wszyscy pozostali na pokładzie, owinięci w podróżne szale, niektórzy tylko, dla rozgrzania się popijali od czasu do czasu „gin“ albo „wisky“ z własnych butelek. Jeszcze jeden odgłos dzwonka, podniesiono kotwice i *Książę Walii* poruszył się zwolna, zakołysał i wypłynął z maleńkiej zatoki, chroniącej go przed falami Północnego morza.

Odnoga Firth albo Forth, oblewająca od północy brzegi hrabstwa Fife, od południa zaś dotykająca hrabstw Linlilhgow, Edymburg i Haddington, stanowi ujście niewielkiej rzeki Forth, wypływającej z wschodniego stoku gór Ben Lomond, a wpadającej do morza pod Kincardine.

Niewielkaby to była przestrzeń do przebycia pomiędzy Granton-pier, a ostatnim krańcem tej odnogi, gdyby nie konieczność ciągłego krążenia i kołowania po obu brzegach, dla zatrzymywania się na rozlicznych stacyach przy miastach, wioskach i folwarkach, rozrzuconych nad brzegami Fortu, wśód bujnej zielonością i żyznej okolicy.

Inżynier ukryty przed deszczem pod kładką łączącą dwa bębny skrzydeł parostatku, nie zwracał żadnej uwagi na rozwijający się przed jego oczyma krajobraz. Więcej zajmowała go myśl czy on sam nie jest przedmiotem czyjej ciekawości, bo dlaczegożby w istocie, bezimienny autor drugiego listu nie mógł się znajdować na statku? nic jednak nie zdradzało podobnego przypuszczenia, żadne spojrzenie nie wydało mu się podejrzanem.

Tymczasem *Książę Walii*, odpłynąwszy z Granton pier, skierował się ku wązkiemu przesmykowi w punkcie pomiędzy South-Queensferry i North-Queensferry, gdzie Forth rozlewa się w jezioro, dostępne dla wielkich statków; wśród gęstej mgły, można było niekiedy dostrzedz śnieżyste wierzchołki pasma gór Grampian.

Niezadługo parostatek minął wioskę Aberdour, wyspę Colm, uwieńczoną zwaliskami klasztoru z XII stulecia, ruiny zamku Barnbougle, potem Donibristle, gdzie zamordowany został zięć rejenta Murray, a następnie ufortyfikowaną wysepkę Garvie. Przebył cieśninę Queensferry, zostawił na lewo zamek Rosyth, niegdyś rezydencyą jednej gałęzi Stuartów, z którą spowinowaconą była matka Kromwela, minął Blackness-castle, zawsze, w myśl traktatu Unii, ufortyfikowany, i wpłynął do maleńkiego portu Charleston, zkąd wywozi się wapno pochodzące z kamieniołomów lorda Elgin. Nareszcie dzwonek *Księcia Walii* zwiastował przyjazd na stacyą Crombie.

Powietrze było szkaradne. Deszcz pędzony silnym wiatrem od lądu, kłębił się w zbite tu-

---

*) Główna i słynna ulica Starego miasta w Edymburgu.

many, co jak trąba morska z szumem i złowieszczym przelatywały jękiem.

James Starr nie czuł się zupełnie spokojnym. Trapiła go prawie uzasadniona wątpliwość, czy syn Szymona Ford stawi się w umówionem miejscu. Wiedział bowiem z własnego doświadczenia z jaką niechęcią górnicy przyzwyczajeni do głębokiej ciszy w swoich podziemiach, narażają się na gwałtowne zmiany atmosfery. Z Callander do szybu Yarów wypadało liczyć co najmniej cztery mile drogi. Jedna i druga okoliczność mogły w pewnym względzie opóźnić, jeśli nie zupełnie utrudnić przybycie na stacyą syna starego obermana. Bardziej jednak aniżeli te przypuszczenia, trapiła inżyniera myśl, że schadzka naznaczona pierwszym listem, została drugim odwołaną. Rzeczywiście, to jedno największem było jego strapieniem.

W każdym razie, zdecydowany był, w razie gdyby nie zastał na stacyi Henryka Ford, udać się samemu do kopalni, a nawet, w razie potrzeby, aż do wioski Aberfoyle. Tam dostarczą mu bezwątpienia dokładnych wiadomości o Szymonie Ford, a przynajmniej dowie się o obecnem mieszkaniu byłego obermana

Podczas tych rozmyślań koła *księcia Walii* przerzynały już znowu wzburzone fale rzeki. Po obu brzegach najciekawsze nawet oko nic dostrzedz nie mogło: ani wioski Crombie, ani Torryburn, ani Torry-house, ani Newmills, ani Carriden-house, Kirkgrange i Salt Pans. Tak samo cienie mgły pokryły maleńką zatokę Bowness, port Grangemouth przy wejściu do kanału Clyde, starożytne miasto Culross z ruinami opactwa Citeaux, Kinkardine z warsztatami budowli okrętów, gdzie parostatek zatrzymał się na chwilę, Ayrth-Castle z kwadratową wieżą z XIII wieku, Clackmannan wreszcie z zamkiem wystawionym przez Roberta Bruce.

W Alloa wysiadło na ląd kilku podróżnych. Inżynierowi ścisnęło się serce, gdy po raz pierwszy od dziesięciu lat spoglądał na to miasteczko, siedzibę zarządu olbrzymich kopalni węgla, zatrudniających ciągle całą ludność pracowitych robotników. Z westchnieniem przeniósł się myślą w te podziemia z wielką jeszcze korzyścią eksploatowane i nie mógł powstrzymać się od zrobienia przykrej uwagi, że kopalnia Alloa, prawie granicząca z kopalnią Aberfoyle, nie przestaje wzbogacać całej stolicy, kiedy w sąsiednich pokładach, wyczerpanych od lat tylu, nie znalazłoby się zajęcia dla jednego nawet robotnika!

Opuściwszy Alloa parostatek z przyspieszonym biegiem przebywał niezliczone zakręty jakiemi wije się Forth na przestrzeni dziewiętnastu mil, a wielkie nadbrzeżne drzewa znikały przed podróżnemi jak senne widziadła. Na jednę chwilę okazały się ruiny opactwa Cambuskenneth, sięgającego jeszcze XII wieku i wkrótce potem zamek i królewskie miasto Stirling, gdzie rzeka przecięta dwoma mostami, nie jest już dostępną dla wielkomasztowych statków.

Zaledwie *książę Walii* przybił do brzegu, inżynier wybiegł na ląd pospiesznie, w pięć minut znajdował się na dworcu kolei żelaznej, a w godzinę później wysiadał z wagonu w Callander, wielkiej wsi leżącej na lewym brzegu rzeki Teith.

Na peronie oczekiwał młody człowiek, który natychmiast podszedł ku przybyłemu.

Młodzieńcem tym był Henryk, syn Szymona Ford. (C. d. n)

Z DZIEJÓW UNII

przez

JULIANA BARTOSZEWICZA.

(Wyjątek z niedrukowanego dzieła.)

ROZDZIAŁ XX.

(Ciąg dalszy.)

Kilkuset księży zamordowano, innych ocalonych od śmierci Melchizedek powysełał za Dniepr, gdzie moskiewski władyka perejesławski Grzegorz Lincewski, czy chcieli, czy nie chcieli, przyjmował ich na schizmę. Tego Lincewskiego sam Melchizedek wybrał, wyświęcił nawet podobno. Ściągał go teraz do Polski nad brzeg Dniepru, ażeby lud spieszący na rzeź błogosławił. Nie zawszeż to stara piosenka? Ażaliż w bojach przeciwko Polsce nie ginęły greckie popy w metropoliczych kłobukach?

Ileż to znowu przelało się tej krwi męczeńskiej za Koliszczyzny! Mamy w aktach grodzkich żytomirskich z onego czasu protestacyą Jana Rocha Kościuszki, plebana unickiego, podpisaną przez kilkuset księży unickich z Ukrainy i pobrzeżnych jej stron Wołynia, przeciw temu apostołowaniu moskiewskiemu; wydrukował ją w swoich Materyałach do dziejów konfederacyi barskiej Szczęsny Morawski. Świadectwo to dla mordów od których ziemia zadrżeć powinna! Zbiegowie z własnych parafij, księża uniccy z Ukrainy, opisując nędzę swoję, morderstwo, prześladowanie, skarżą się w niebogłosy, budząc litość, że gwałt sumieniu się dzieje, że carowa lud ukraiński do schizmy zapisała. Ostatnie echo tych mordów ponawia się w Humaniu. Chmielnicki nie dokazywał tyle. W Humaniu błogosławione narzędzia cywilizacyi moskiewskiej zabijały księży, świeckich, starców, kobiety, dzieci, wszystkich bez różnicy wiary, stanu i wieku. Poległ tam męczeńską śmiercią i dobrodziej Ukrainy ks. Kostecki i Mładanowicz, gubernator włości Potockiego ukraińskich. Opisów tej rzezi mamy dosyć. Bóg chyba naumyślnie wyrywał z rąk rozbójników ofiary, żeby potem złożyły na piśmie uroczyste przeciw Moskwie świadectwa. Jednemu stało się zadość, sprawiedliwości historycznej; ale męczennicy zostali nieuznani, niedość wysławieni w narodzie!

Unia była tak narodowym obrządkiem w Rzeczypospolitej, tak się była przyjęła na Rusi, że ostatni w epoce rozbiorów obrońca niepodległości polskiej, Kościuszko miał jeszcze widzimy, jakiegoś krewnego w kapłanie ruskim, który podniósł głos o znieważone prawa narodu. Kościuszko ksiądz przeczuwał przyszłość unii, ostatni walczył w jej obronie za czasów Rzplitej, Kościuszko jenerał, Rusin krwią, ale Polak serdeczny, ostatni podniósł oręż w obronie całości Korony, Litwy i Rusi.

Prawodawstwo delegacyjne i rzezie znane pod nazwiskiem Koliszczyzny, jakże wysoko podniosły w kraju stanowisko sędziego i prawodawcy Koniskiego! Moskwa w nagrodę za gorliwą służbę mianowała go arcybiskupem mohilewskim i członkiem synodu petersburskiego. Carowa w Polsce stanowiła arcybiskupstwo! Na urągowisko narodu i wiary katolickiej sprzysięgłego wroga Rzeczypospolitej podnosiła coraz wyżej i wyżej, dawała mu coraz silniejsze środki działania. Stara Rzplita zygmuntowska, kraj wolny, została prowincyą moskiewską już od czasu wstąpienia na tron Stanisława Augusta; po rzeziach Koliszczyzny coraz się bardziej wikłała w tej niewoli. Koniski w Polsce był sprawującym interesa moskiewskie. Kniaź Repnin, wtedy prawodawca mongolski Rzplitej, silniejszy władzą niż najwięksi despoci, ćmił całkiem króla, który nic nie znaczył. Był Koniski jeszcze bardzo skromny, skoro tylko rok 1717 wziął za normę i żądał, ażeby cerkwie, które po tej dacie przeszły na unią, powrócone były schizmie, nie dość na tem, żeby się zamieniły w ognisko moskiewskiej propagandy, poddane synodowi petersburskiemu.

Miały się teraz zacząć okropne rzeczy, usilne na prawnej drodze nawracania. Byłoby przyszło do dowodzenia temu i owemu, że ojciec jego, że dziad, wuj i stryj był nie unitą, więc i on być musi nie unitą, bo taka jest wola Rzeczypospolitej polskiej. Dowiedzionoby, że ta i druga cerkiew była kiedyś w rękach schizmy, więc i teraz do niej powracać musi. Komisya, którą uchylił zręcznością swoją Sapieha koadjutor wileński, odżyłaby i byłaby zabiła unią. Okropny był to stan Polski. Wzięta w moskiewskie kleszcze nawet złorzeczyć nie mogła swoim oprawcom. Ale wybuchła konfederacya barska, nie było czasu do tych prawnych dochodzeń i zmuszań. Moskwa znaleść się umie w każdym razie; powiedziała tedy sobie: lepiej że jest konfederacya, w mętnej wodzie snadniej łowić ryby, wojna to gwałt, bo działanie siły, będziemy tedy gnębić konfederatów, szerzyć jeszcze większe zamieszanie i w ten sposób zgrabnie się osłoni gwałt zadawany sumieniom. Już niepotrzebowano długiej drogi przewodu prawnego. Moskwie w tym razie na dobre posłużył patryotyzm polski, który się uciekał do oręża. Już Moskale nie byli w konieczności trzymania się praw, które świeżo Polsce narzucili. Prawda i to, że wszelkie prawa są dla Moskwy tylko bronią; potrzeba ich, służą, niepotrzeba, służą także, bo car i jego ministrowie wszystko wykręcą, wszystko obrócą na swoję korzyść. Moskwa nie trzymała się nigdy umów publicznych, którémi dobrą wiarę państw oszukuje. Szalony ten, kto jej wierzy; niezna Moskwy. Wprawdzie, jak tutaj, konfederacya barska była dla Moskwy klęską z jednej strony, chociaż Katarzyna miała miliony środków, któremi do celu dążyła, mogło się jej nic nie udać, skoroby się naród był energicznie wziął do dzieła. Konfederacya mogła stanowczo wpływ Moskwy usunąć z Rzeczypospolitej. Ale to patryotom tak się wydawało. Carowa zimniejsza w poglądach, wyrachowana, znająca naród, umiejąca działać, układała zgubę i prowadziła Polskę do upadku. Carowa była spokojna; zwycięztwo konfederacyi zaliczała do rzeczy niepodobnych. Żeby przecież pewniejszą być swego i z ręku nie wypuścić ofiary, żeby zgubić co prędzej konfederacyą, Katarzyna nie przebierając w środkach, kazała mordować na Ukrainie, i w innych stronach Rzplitej pogranicznych zwłaszcza z cesarstwem. Na Białej Rusi, w nowem arcybiskupstwie mohilewskiem przeprowadza z niezłomną logiką, a dzikiem usposobieniem systemat swój religijno-polityczny.

Melchizedek kilkadziesiąt parafii unickich przy pomocy Moskwy na Ukrainie przeprowadził na schizmę. Za to usunięty dla niepoznaki z Polski wynagrodzony rangami i orderami, żył jeszcze za czasów Sejmu Wielkiego w krajach moskiewskich. Carat, żeby lepiej się usadowić na Ukrainie, nowym sposobem pomknął w granice Polski: kniaź Potemkin kupił Smilańszczyznę. Przewo-

dząc w Rzplitej, na sejmach, w radzie królewskiej, w zgromadzeniach obywatelskich, naturalnie Moskwa nie robiła sobie wiele kłopotu z ludem prostym, ciemnym, obałamuconym przez swoich missyonarzy. Wrażano ludowi przekonanie, że schizma ukraińska a moskiewska to jedna cerkiew, chociaż pierwsza była schizmą carogrodzką a druga petersburską, uralsko-fińsko mongolską. Obmawiała Moskwa tylko przeszłość, bo nawracając świeżo lud unicki na Ukrainie, oczywiście na petersburską nie na carogrodzką nawracała go schizmę. Postępując dalej w swojem fałszowaniu przeszłości, Moskwa wmawiała ukraińskiemu ludowi, że nawet unia a schizma to jedna cerkiew. (C. d. n.)

Trzęsienia ziemi i zmiany pogody.

Od siedmiu lat wydaje w Wiedniu astronom Rudolf Falb pismo popularne astronomiczne pod tytułem „Sirius“, w którem ogłasza znane swoje przepowiednie meteorologiczne, sprawdzające się bardzo często. Obecnie ukończył podróż po Niemczech, gdzie w pięćdziesięciu najznaczniejszych miastach niemieckich miał wykłady o swojej teoryi, aby jej zjednać rozgłos i zwolenników. Wykłady te tyle mu przyniosły czystego zysku, że ma środki, aby się udać w daleką podróż na zachodni brzeg południowej Ameryki, w celu badania zjawisk wulkanicznych i trzęsień ziemi, z której to wycieczki można się spodziewać ciekawych dla nauki rezultatów. Ponieważ zaś poglądy Falba, coraz więcej jednają sobie zwolenników, postanowiliśmy podać z nich przynajmniej krótkie sprawozdanie.

Główne zasady jego teoryi są następujące: Jak ocean ziemski ulega przyciągającej sile księżyca i słońca, tak i stopione wnętrze ziemi temu wpływowi ulegać musi. Siła przyciągająca tych ciał z wyraźniejszym jeszcze skutkiem działa także i na ocean powietrzny, ziemię naszę okalający. Tak więc stopione wnętrze ziemi, ocean i powietrze tej samej podlegają sile, tymi samymi rządzone są prawami.

Obrót księżyca na około ziemi sprawiając widoczny przypływ i odpływ morza, powinien sprawić także przypływ i odpływ stopionego wnętrza ziemi, przypływ i odpływ oceanu powietrznego. Zwyczajny ten atoli przypływ i odpływ nie sprawia na nas żadnego już wrażenia, tak skutki jego są powszechne i stosunkowo słabe. Gdy atoli księżyc lub słońce w większej do ziemi staną blizkości, wtedy wpływ ich jest silniejszy, skutki widoczniejsze.

Morze na brzegi występuje w gwałtownym przypływie. Równocześnie i wewnętrzne gorące morze w ziemi ulega silniejszemu przypływowi i sprawia trzęsienie ziemi. Ocean powietrzny silniejszy przypływ objawia silniejszymi prądami powietrznymi, wichrami, burzami.

Większe i gwałtowniejsze będą poruszenia powietrza, oceanu i stopionego wnętrza ziemi, jeżeli słońce i księżyc równocześnie staną w najbliższej do ziemi blizkości, co się atoli nie często zdarza. Rozumie się, że może blizkość słońca i księżyca zdarzyć się w opozycyi, to znaczy: ciała te stoją wtedy po przeciwnej stronie ziemi i wpływy ich wtedy wzajemnie się do pewnego stopnia zobojętniają, gdy atoli staną w konjukcyi, wtedy potęgują się wzajemnie ich wpływy i zjawiska skutkiem tego będące, występują z większą siłą. Podczas konjukcyi księżyca ze słońcem zdarzają się zaćmienia słońca, którym towarzyszą zazwyczaj nietylko silne burze, wichry, wylewy morza, ale i silne trzęsienia ziemi. W takiej to konjukcyi stały właśnie te gwiazdy w sam dzień śmierci Chrystusa, a wiemy jak ewangelista opisuje zjawiska, które przestraszyły żydów dnia tego.

Co do przypływów i odpływów morza nikt już o tem nie wątpi, że zależą one od przyciągającej siły księżyca i słońca. Peryodyczność ich jest tak regularna, że da się obliczyć i przepowiedzieć z największą pewnością. Jeżeli woda ulega tym siłom, dla czegożby powietrze ulegać im nie miało? Chodzi tylko o to, aby wytłómaczyć w jaki się to dzieje sposób.

Wiadomo, że rozgrzane powietrze na równiku podnosi się w górę i odpływa ku biegunom. Zimne powietrze biegunowe wskutek tego płynie ku równikowi. Przyciągająca siła księżyca i słońca sprawia że powietrze na równiku szybciej się podnosi, szybciej płynie ku biegunom, a wskutek tego mniej się oziębia, niż zwyczajnie. Znowuż powietrze biegunowe szybciej spływa ku równikowi, a w skutek tego mniej się ogrzewa. Szybkość tych prądów i większa różnica ich temperatury sprawia, że gdzie one uderzą na siebie, tam uderzą z większą siłą, gwałtownością, sprawiając burze, a zwłaszcza burze wirujące, czyli huragany i tajfuny. Jeżeli więc dają się przepowiedzieć gwałtowne przypływy morza, to z równą prawie pewnością dają się gwałtowne burze przepowiedzieć, co też, Falbowi zawsze się prawie udaje.

Trzęsienia ziemi są podług Falba podziemnymi wybuchami wulkanicznymi. Wybuch wulkaniczny za słaby, aby się przedostać na powierzchnię ziemi, objawia się jako trzęsienie ziemi. Dla tego po rzeczywistym wybuchu wulkanicznym z krateru Wezuwiusza albo Etny, następują zawsze gwałtowne trzęsienia ziemi, ponieważ po pierwszym zużyciu prężności zamkniętych pod powierzchnią ziemi gazów, pozostała reszta gazów mniej już ma prężności, jest za słabą, aby się wydobyć na powierzchnię i przedzierając się spodem, sprawia poruszenie skorupy ziemskiej.

Jeżeli trzęsienia ziemi są podziemnymi wybuchami wulkanicznymi, czem są same wybuchy wulkaniczne? Falb co do tego powołuje się na doświadczenie zrobione przez sławnego profesora Hochstettera, badacza wulkanów Nowo zelandzkich. Hochstetter stopił znaczną ilość siarki i wylał do naczynia. Siarka stygnąc na powierzchni, powlokła się cienką stężała warstewką. Z roztopionej siarki pod tą warstewką będącej, wywiązywały się pary, które przedzierając się na wierzch, robiły sobie otwory. W ślad za występującymi dymami siarki wylewała się roztopiona siarka na powierzchnią i rozlewając się na około otworu, utworzyła małe stożki, tak regularne, że można było sądzić, że to są sztuczne utwory, służące do unaocznienia budowy wulkanów. To samo zjawisko uważał Palmieri na lawie roztopionej, płynącej z Wezuwiusza. Przez skrzepłą z wierzchu skorupę wydobywały się pary, za niemi atoli wypływała lawa, tworząc stożki na trzy metry wysokie. Jest to więc naturalny proces objawiający się przy stygnięciu roztopionych, wysoką temperaturę mających płynów.

Wybuchy wulkaniczne i trzęsienia ziemi są więc podług Falba następstwem stygnięcia roztopionej niegdyś masy ziemskiej; wywoływane są peryodycznie siłą przyciągającą księżyca i słońca.

Peryodyczność ich zbadał Falb gruntownie. Zebrał z najdawniejszych kronik, aż do najnowszych wiadomości dziennikarskich, wiadomość o 5.500 wybuchach i trzęsieniach ziemi. Rozdzieliwszy je na miesiące roku, okazało się, że najwięcej ich przypadało w Styczniu, to jest w czasie największego ziemi do słońca zbliżenia, najmniej atoli w Lipcu, to jest w czasie największego ziemi od słońca oddalenia. Dla większej pewności rozdzielił Falb owę liczbę na dwie połowy, z których pierwsza 2750 przypadła na przeciąg lat 1.000. Druga zaś na przeciąg lat ostatnich 50ciu i znów to samo okazało się maximum i minimum.

Nierówność liczb tych nie okazuje, że dawniej było mniej trzęsień, a teraz więcej, bo owszem tak wybuchy wulkaniczne, jak i trzęsienia ziemi były dawniej częstsze i z czasem będą rzadsze, lecz z ostatnich lat mamy o każdym ich pojawie najdokładniejsze wiadomości, podczas gdy dawniej bardzo rzadko zapisywano spostrzeżenia.

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom czwarty.

ROZDZIAŁ VI.

(Ciąg dalszy.)

Do próby Gabryela względem Hamlina szeryf chętnie się przychylił. Sprowadzono natychmiast powóz by rannego, pomimo oporu i krzyków, przewieść do Grand Conroy Hotel, gdzie w towarzystwie wiernego swego giermka był pod każdym względem swobodny. Ale już w pół godziny po przybyciu leżał nieprzytomny, w gwałtownej gorączce.

Ze względu, że miejscowe więzienie w One horse gulch nie przedstawiało należytego bezpieczeństwa, jak również dlatego, że i ludności bardzo dowierzać nie należało, szeryf, w towarzystwie Olly, zaprowadził więźnia swego do Wingdam. Tymczasem twierdzenie Olly, że opinia publiczna zmieniła się, lub raczej zajęła się klęską większych rozmiarów, w gruncie było słusznem. Wiadomość o ponownem uwięzieniu Gabryela przez legalnego jego stróża nie wywołała ani wzburzenia, ani uwag.

Więcej jeszcze! zapanowało usposobienie przychylne dla oskarżonego. Wystąpienie komitetu bezpieczeństwa pozostało bez rezultatów, a nawet bardzo niefortunnie zakończyło się dla przywódców. Trzej główni podżegacze do lynchu śmierć ponieśli... i, co zatem idzie, musieli nie mieć słuszności!... więzień natomiast, pozostały przy życiu, być może, iż miał słuszność za sobą...

„Silveropolis Messenger,“ który przed dziesięcią dniami opisywał szczytny widok wolnego ludu, który pokrzywdzony w najświętszych swych uczuciach, odwołuje się do pierwszych zasad sprawiedliwości i publicznego porządku, i jak jeden mąż powstaje dla ich utrzymania, teraz spokojnie pogrzebał ofiary i ich motywa zdala od publicznego widoku, przy umiarkowanem zaznaczeniu, że zanadto się pospieszyli włażąc na dach trybunału, dla ocenienia szkody spowodowanej trzęsieniem ziemi.

„Banner“ wynurzał tę samę myśl, tylko nie w tak wykwintnej formie i ironicznie napominał

że na przyszłość tylko rzeczoznawcom należy pozwalać zajmować się sprawdzaniem szkód.

Nie nastąpiła nawet najmniejsza opozycya gdy Gabryel, na wniosek adwokata Maxwella uwolniony został przez przysięgłych na porękę, aż do zapadnięcia wyroku — i nikt się nie zdziwił gdy ajent pana Dumphy złożył za niego wadium w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Ponieważ Gabryel stanowczo nie chciał powracać do posiadłości, którą w dniu spełnienia morderstwa legalnie przelał na swoję żonę, więc tymczasowo szukał schronienia w Grand Conroy Hotel. Tu pani Markle, chociaż okazywała przed adwokatem Maxwellem wielki współudział w kłopotach Gabryela, przyjęła oskarzonego z zimną powściągliwością, o tyle dla Gabryela pożądaną o ile nie spodziewaną.

Do tegoż samego hotelu przybyła kobieta o ciemnej twarzy, rysach ostrych, niemal grubych, w żałobie, jako mściwa przyjaciółka nieszczęśliwego Ramireza, w zamiarze oczekiwania na rozprawę przed sądem przysięgłych. Towarzyszył jej gentleman również brunatny i stary, nasz dawny znajomy, don Pedro. Była to wierna Manuela z ulicy Pacific, która według opinii panującej w Grand Conroy Hotel była w posiadaniu niezmiernie ważnych i tajemniczych dowodów przeciw Gabryelowi.

Sal Clark, również w najgłębszej żałobie, obecność tych obcych bardzo źle widziała. Obie damy przy każdem spotkaniu się za table, d'hote, lub w korytarzu, rzucały na siebie przeszywające spojrzenia.

— Na miłość boską, jaką my tu mamy głupią i natrętną kreaturę i z jakiego powodu jest to tak a nie inaczej? pytała Manuela don Pedra.

— Prawdę powiedziawszy sam nie wiem! odpowiadał don Pedro, — widocznie że jestto osoba przez opatrzność nasłana... istota słaba i bez mózgu. Być może, że jestto osoba pełna aguardiente, lub whiskey Amerykanów. Pilnuj się, moja mała! moja luba Manuelo! (ważyła najmniej trzysta funtów) by ona ci co złego nie wyrządziła.

A tymczasem panna Sara Clark na daleko prostszej drodze wywnętrzała się przed panią Markle:

— Jeżeli ta czarna mulatka i ten stary wysuszony cudzoziemiec, sądzą — tak mówiła do p. Markle—że zdołają wpłynąć na opinię publiczną, to są na bardzo mylnej drodze. Jeżeli była gdzie jaka bezwstydna istota, to jest nią ta kobieta, a ten, Boże odpuść, mężczyzna, to dopiero nieszczęśliwe stworzenie!

I chociaż wyda się to śmiesznem czytelnikowi bez uprzedzeń, jednak taki stanowczy sposób wyrażania się panny Clark, jak wszystkie stanowcze oświadczenia, nie pozostał bez wpływu na przysięgłych. Powoli w One horse gulch coraz wyraźniej występowało nieprzychylne uprzedzenie przeciw nieznanej damie i towarzyszącemu jej cudzoziemcowi, podczas gdy dla Gabryela opinia publiczna coraz życzliwszą okazywała się.

Tymczasem człowiek, który wywołał całą historyę, zachowywał obojętność i milczenie. Wogóle mało nawet rozmawiał ze swym doradcą prawnym i przyjacielem, adwokatem Maxwellem i z właściwą sobie uległością i prostotą przyjął oświadczenia tego pana, że p. Dumphy zapewnił mu usługi jednego z najznakomitszych w San Francisco adwokatów — pana Artura Poinstett, do pomocy przy obronie. Gdy Maxwell dodał, że p. Poinsett wyraził życzenie, by pierwsza jego konferencja z Gabryelem odbyła się we cztery oczy, ten ostatni odpowiedział ze zwykłą swą prostotą:

— Nie sądzę bym miał mu do powiedzenia coś takiego, czegobym już panu nie powiedział, ale niech i tak będzie.

— W takim razie czekam na pana jutro w mojej kancelaryi o jedynastej godzinie, rzekł Maxwell.

— Dobrze, odrzekł Gabryel, — chociaż i bez tego pewny jestem, że wszystko co pan i on postanowicie, będzie dla mnie dobrem i zadowolni mnie.

Następnego poranku na kilka minut przed jedynastą, p. Maxwell, wskutek poprzedniej umowy z p. Poinsettem, wziął kapelusz i pozostawił swą kancelaryą wyłącznej opiece tego gentlemana, ażeby ten z całem zaufaniem i bez przeszkody sam mógł rozmówić się z Gabryelem.

Równo o jedynastej zaskrzypiały schody pod olbrzymią postacią Gabryela. Następnie dało się słyszeć skromne i ostrożne pukanie do drzwi.

— Proszę! zawołał — i drzwi otworzyły się.

— Przez adwokata Maxwella zostałem zawiadomionym — zaczął Gabryel powoli, nie podnosząc oczu od ziemi i tylko w niejasnych zarysach dostrzegając męzką i wykwintną figurę przed sobą — przez adwokata Maxwella zostałem zawiadomiony, że p. Artur Poinsett życzy sobie widzieć mnie tu o godzinie jedynastej, dlatego też przyszedłem. Czy pan jesteś pan Artur Poinsett? (Tu Gabryel podniósł oczy) — to pan? co?... Boże wszechmogący!... co mi jest?... ha!... co?... czy dobrze widzę?... Ależ to być nie może!...

Zatrzymał się — poznanie było stanowczem.

Artur nie ruszał się. Jeżeli spodziewał się wybuchu obrażonego człowieka, to się zawiódł. Gabryel, jak gdyby chciał zebrać zmysły, pocierał sobie ręką czoło, głaskał włosy i dwa zbłąkane pukle założył sobie za ucho. A następnie, nie zwracając uwagi na podaną sobie przez Artura rękę, ale bez uniesienia, gniewu, lub niechęci, stanął przed nim i powiedział spokojnie, jakby to sam Artur uczynił:

— Gdzie jest Gracya?

— Niewiem, odrzekł Artur, — od wielu lat już nie wiem nic o niej. Nie badałem jej miejsca pobytu, nie mogłem dowiedzieć się, czy żyje czy umarła, od owego dnia, w którym pozostawiłem ją w chacie trapera, a sam powróciłem do zgłodniałego obozu by wam podać pomoc. Gdym powrócił już jej nie było; dokąd się udała — nikt nie wiedział. Szedłem jej śladem aż do Presidio: ale tam ślad znikł.

Gabryel podniósł oczy i spojrzał na Artura. Ale nie mówił nic, a Artur ciągnął dalej:

— Chatę trapera opuściła dobrowolnie, z własnego popędu, i bez wątpienia z jakiegoś powodu, który wydał się jej dostatecznym dla zrobienia tego kroku. Opuściła mnie — ciągnął dalej, — jeżeli mogę tak się wyrazić — usunęła się z pod mojej opieki, usnęła od odpowiedzialności jaką przyjąłem na siebie wobec jej krewnych — bez żadnego słowa, lub poprzedniego zawiadomienia. Być może, iż czas wydał się jej za długim by czekać na mnie. Dwa tygodnie byłem nieobecny. Dziesiątego dnia po mojem odejściu opuściła chatę trapera.

— Dziękuję panu za te objaśnienia — odrzekł Gabryel po namyśle — pięknie jest ze strony pana, że przypominasz sobie dawne czasy; jeżeli niekiedy źle myślałem o panu, to przebaczysz człowiekowi, który się niepokoi o swoję zaginioną siostrę, o której nic nie słyszał od czasu jak z panem odeszła. I niech pan nie sądzi bym życzył sobie tego spotkania z panem. Ja tu zaszedłem tylko ażeby zobaczyć się z człowiekiem nazwiskiem Poinsett. Miał on tu być o jedynastej — może jeszcze zawcześnie — a może też przysłyszało mi się!... (i obejrzał się skromnie po pokoju).

Nazwisko moje jest Poinsett, rzekł Artur z uśmiechem, — nazwisko Filip Ashley, pod którem pan mnie znałeś, przybrałem tylko przedsiębiorąc daleką podróż. Jako Artur Poinsett, adwokat z San Francisco, zażądałem tej konferencyi z panem; jako dawny przyjaciel pana, Filip Ashley, proszę teraz pana o zaufanie, proszę otwarcie i szczerze opowiedzieć mi całą treść tej nieszczęśliwej sprawy. Jestem tu by być panu pomocnym we własnym i jego... siostry interesie. I sądzę, że podołam temu.

Wyciągnął ręce ku Gabryelowi — które ten uścisnął. Artur uczuł, że wielka trudność, którą miał pokonać przy bronieniu Gabryela, już została usunięta.

— Opowiedział mi całą historyą, — mówił we dwie godziny potem, gdy adwokak Maxwell powrócił i znalazł swego kolegę zamyślonego pod oknem, — i wierzę mu. Jest on tak niewinnym tej zbrodni jak pan, lub ja. Zawsze byłem tego zdania. O ile przyjął udział w czynie — a zgóry mówię, że nic nie wiedział poprzednio — to inne pytanie. Ale jego opowiadanie, pomimo, że jest zupełnie przekonywającem dla mnie, obawiam się, że wobec przysięgłych i wogóle publiczności niebędzie miało szczególnego powodzenia. Zawiera ono w sobie za wiele nieprawdopodobieństw; z drugiej zaś strony, gdyby mu uwierzono, to i w takiem razie wiele rzeczy mówi przeciw niemu. Musimy to obrócić na inny sposób. Musimy skonstatować morderstwo i ograniczyć się na tem, że udowodnimy szczególne wyjątkowe wyzwanie. Mam niejakie pojęcie o tutejszej opinii publicznej i znam sympatyą przysięgłych, — gdy Gabryel opowie historye, które tylko com słyszał od niego — to go każą natychmiast powiesić! Na nieszczęście dla niego, rzecz płącze się; interesa posiadania i oszustwa ze strony jego żony, co do których on zupełnie jest niewinny i które właściwie nie przedstawiają motywów do morderstwa, będą w oczach przysięgłych uznane za motyw wystarczający. Musimy, całą sprawę, od samego początku obalić; jeżeli doprowadzimy go do tego, że zachowa milczenie, to nic nie będzie mogło być dowiedzionem; ale on wskutek wrodzonej sobie głupoty i chęci uratowania swej żony stanowczo gotów przyjąć winę na siebie.

— A zatem pan nie wierzysz w to, że pani Conroy jest winną? zapytał Maxwell.

— Nie, odrzekł Artur, zdolna jest ona wprawdzie do takiego czynu, ale tu nie jest winną. Rzeczywisty morderca nie jest podejrzywany, ani jego obecność w One horse gulch nie jest znaną...

* * *

Gdy Gabryel opowiedział Olly wypadki całego tego dnia, i opisał rozmowę ową z Poinsettem, dziewczyna oburzyła się w najwyższym stopniu.

— I ten człowiek ośmiela się twierdzić, że

nie wie czy Gracya żyje, czy umarła! I udaje, że kocha ją!

— Rozumie się, odrzekł Gabryel. Zapominasz, Olly, że Gracya mnie, własnego swego brata nie uwiadomiła gdzie jest, a chcesz by powiedzała to obcemu?

— Być może, iż nie chciała mieć więcej z nim do czynienia, zawołała Olly gwałtownie,— ale chciałabym wiedzieć co on jej powiedział, przy swoim bezwstydzie. Nie znaleźć jej! a! to rzecz szczególna! Jak myślisz, Gabie, czy Julia nie odszuka ciebie?... co?... ja gotowam założyć się, że ona wie najdokładniej gdzie ty się obracasz. (Gabryel zadrżał i uczuł jak mu serce mięknie) i czeka na rozprawę publiczną? Znowu dajesz się wodzić za nos adwokatom!... ty stary Gabie. Daj mi pokój z tym Filipem, Ashleyem, Poinsettem! dość mam tego!

ROZDZIAŁ VII.

Czego Ah Ri nie wie.

Zburczany w ten sposób przez praktyczną Olly, wyniósł się Gabryel do Conroy Hill, gdzie wypaliwszy fajkę w opuszczonej swej chatce, oddał się rozpamiętywaniom o lekkomyślności rodzaju niewieściego i kaprysach kobiet w ogóle.

Czasami, mimowolnie ustępując dawnemu przyzwyczajeniu, przekraczał on granice i wtedy nagle znajdował się na wzgórku koło swego pięknego domu — od którego, od czasu owego brzemiennego w wypadki rozstania się z żoną, zawsze trzymał się zdala.

Otóż pewnego dnia, gdy właśnie cofał się i przedzierał przez gęste caprifolium, natknął się na mały roboczy koszyk, widocznie zgubiony, czy też zapomniany w trawie. Poznał go natychmiast jako własność żony i również prędko przyszło mu na myśl, że okolica ta była ulubionem jej miejscem wypoczynku w godzinach popołudniowych. Zawahał się, poszedł dalej, potem znowu zatrzymał się, w końcu zawstydzony powrócił. Dotykać się jakiejkolwiek własności swej żony, po rozstaniu się z nią — nie zgadzało się z jego sposobem myślenia; pozostawić tę rzecz na łup pierwszego lepszego Chińczyka, który tędy przechodzić będzie, lub też na łup żywiołów, to znowu nie zgadzało się z pewnem poczuciem szacunku, jaki zawsze dla swej żony uczuwał. W końcu zdecydował się wziąć koszyk i odnieść adwokatowi Maxwell, jako pełnomocnikowi żony. Ale gdy to robił, ku najwyższemu jego przerażeniu, część mnóstwa zawartych w nim rzeczy wypadła i rozsypała się. Musiał więc jednę po drugiej podnosić i nazad wkładać do koszyka. Jednym z tych przedmiotów była koszulka, tak mała, że zaledwie okrywała potężną trzymającą ją rękę.

Nie włożył tego nazad do kosza, ale zarumieniwszy się wsunął do kieszeni swej bluzy. Kosza także nie posłał adwokatowi Maxwell, jak zrazu zamierzał i nie zrobił żadnej wzmianki o tem w sprawozdaniu ze swych czynności, które codziennie Olly składał. Następnych dwa dni był rzeczywiście milczący, zamyślony i mocno przez Olly strofowany za szczególne zaniedbanie pewnych praktycznych obowiązków.

— Byli tu obaj adwokaci i szukali ciebie, szukali — powiedziała mu — musisz iść do nich i wypytać Chińczyka Ah Ri, który właśnie znowu pojawił się — a ciebie nigdzie znaleść nie można!.. a adwokat Maxwell mówi, że jestto bardzo ważny świadek. Ale gdzie ciebie znaleźć? Znowu tam się włóczysz po górach. A przecież jesteś dorosły mężczyzna, mający rodzinę, o której myśleć powinieneś. Pojąć nie mogę tego, że ty nie nabierzesz rozumu!.. Tak sobie wałęsasz się, kiedy jesteś pod śledztwem, obwiniony o zamordowanie człowieka!.. Stary ty bałwan jesteś, Gabie, dobry tylko do piluowania dzieci! Nie stój tu z otwartą gębą, a raczej ruszaj do adwokata Maxwella i rozmów się z Chińczykiem.

Gabryel wszedł do kancelaryi adwokata Maxwella w tej samej chwili gdy ten wraz z Arturem Poinsett tylko co zakończył długie, lecz które do niczego nie doprowadziło przesłuchanie Chińczyka Ah Ri.

— Obawiamy się, że nie wiele da się wydobyć z przyjaciela pańskiego Ah Ri — powiedział Artur, ściskając rękę Gabryela. — Niech no pan jeszcze sprobuje, czy nie uda się panu; ale zdaje się, że jestto rzecz wątpliwa.

Gabryel z uwagą spojrzał na Ah Ri, być może dlatego, iż był to ostatni człowiek, który mówił mu o zniklej jego żonie. Ah Ri odpowiedział na spojrzenie, usuwając wszelki wyraz z twarzy, z wyjątkiem lekkiego odcienia nieokreślonego zdumienia. Ale na kilka zrobionych mu zapytań, dał tylko kilka niejasnych odpowiedzi.

Artur wstał widocznie zniecierpliwiony; adwokat Maxwell obtarł sobie uśmiech igrający mu na twarzy. Narada została zakończona.

Artur i Maxwell zeszli po wązkich schodach. Gabryel miał pójść za nimi wraz z Ah Ri, ale kiedy obejrzał się za Chińczykiem, żywo przestraszył się wykrzywieniem, jakie dostrzegł w jego twarzy. Chińczyk począł mrugać oczyma bardzo prędko, głową również zakiwał bystro i palce prawej ręki wykręcał. Gabryel spojrzał na niego zdziwiony i z otwartemi oczami.

— Wszystko dobrze! powiedział Ah Ri, uważnie wpatrując się w Gabryela.

— Co? zapytał tenże.

— Wszystko dobrze! pan wiesz wszystko dobrze! Ona mówi, że wszystko dobrze.

— Jaka ona? zapytał Gabryel przerażony.

— No, ona!.. wiesz pan?.. pani Conroy! ona kocha pana... wiesz pan?.. pani Conroy mówi, że wszystko dobrze!

— Ona mówi, ciągnął Ah Ri dalej, zadyszany z pośpiechu, ona mówi, że pan mówisz za wiele. Ona mówi, że ja mówię za wiele. Ona mówi, że Maxwell mówi za wiele. Wszyscy mówią za wiele. Ona mówi: nie mówić! wiesz pan? Ona mówi cicho być! ona mówi stulić gębę... wiesz pan? Ona mówi: później wiele mówić... później wszystko dobrze!

— Ale gdzie ona jest? gdzie ją można widzieć? zapytał Gabryel.

Z twarzy Ah Ri znikł nagle wszelki wyraz. Mokra gąbka nie zdołałaby tak dokładnie zetrzeć wyrazów słów pism napisanych, jak to proste zapytanie starło z oblicza Chińczyka wszelki rys myśli. Na spojrzenie pytającego odpowiedział on niewysłowionym spokojem i bezmyślnością, podciągnął cierpliwie długie rękawy swej bluzy, założył ręce na sposób oryentalny i czekał.

— Uważaj, powiedział Gabryel łagodnie, wyświadczysz mi wiele dobrego jeżeli będziesz mógł wskazać, gdzie ta Julia... ta pani Conroy ukrywa się. Ponieważ jesteś człowiekiem, który w ślepocie swojej pokłania się drewnianym i kamiennym bałwanom, więc naturalnie nie można po tobie przypuszczać byś miał pojęcie o uczuciach chrześciańskich! Ale ja mówię do ciebie jako brat, tylko różniący się w zdaniu, jako człowiek prawy, i jako człowiek niezważający na barwę ciała, — że bardzo uczciwie byłoby z twojej strony, gdybyś mi powiedział, gdzie ukrywa się kobieta połączona ze mną związkiem małżeńskim? Przypuść, że jest ona mojem bożyszczem... pytam się ciebie, bracie bałwochwalcze — gdzie ona?

Lekki przelotny uśmiech wzruszającej prostoty i braku rozumu przemknął po twarzy Ah Ri, jakby u kogoś takiego, kto przysłuchuje się dalekiej niezrozumiałej muzyce. Potem Chińczyk powiedział, łagodnie ale cokolwiek niezadowolony:

— Nie wiem, amerykański człowieku. Ja piorę koszule po półtora dolara za tuzin.

(C. d. n.)

Listy z Anglii.

Sygurda Wiśniowskiego.

(*Dokończenie*).

Jeżeli pragniecie ujrzyć życie parlamentarne angielskie w pełnem tętnieniu, przenieście się na chwilę do izby niższej. Może rozprawy dzisiejsze rozstrzygną losy świata, a z pewnością wywrą one wpływ nadzwyczajny na stosunki stronnictw angielskich. Chodzi o życie jednego z nich — obecnej opozycyi, czyli partyi liberalnej. Były wódz jej, pan Gladstone, wypowiedział posłuszeństwo dzisiejszym wodzom. Zamierza on wnieść pięć rezolucyi, które nietylko związałyby ręce rządu wobec Rossyi, lecz gdyby przeszły, zmusiłyby takowy do krucyaty przeciw Turcyi, do powtórzenia katastrofy Nawarynu. Nawet wigowie wzdrygają się zaparcia odwiecznej polityki angielskiej do tego stopnia, więc większość ich wyrzekła się Gladstone'a. Nazwali go buntownikiem, chcą głosować z rządem, przeciw niemu. Tyle wiemy z gazet. Na przepełnionej galeryi dowiadujemy się, iż Gladstone ugiął się w ostatniej chwili pod naciskiem wodzów opozycyi i zmodyfikował swój wniosek. Debata będzie jednak zajmująca, gdyż bądź co bądź posłuży rządowi do wyzwania izby o wotum ufności. Jeżeli rząd zwycięży — szepczą na galeryi — będzie mógł wypowiedzieć wojnę Rossyi kiedy mu się podoba.

Izba zapełnia się zwolna; około szóstej wieczorem widzimy prawie wszystkich posłów. Jest to pora najświetniejszych popisów retorycznych przedobiadowych. Około siódmej zaczynają gentlemani na dole czuć męki Tantala... jest to ich godzina obiadowa. Jeden po drugim wysuwa się z sali, pomimo czujności *whipper in*, czyli naganiaczy do głosowania. Tuzin mowców ma jeszcze przemówić w tej sprawie. Głodne zgromadzenie nie chce słuchać tego potopu wymowy. Tuż przy rogatce zwanej *bar*, u drzwi prowadzących do bufetu, gromadzi się kilkudziesięciu posłów, żeby zmusić izbę harmidrem do spiesznej dywizyi, czyli głosowania bez dalszej rozprawy. Ilekroć nowy mowca głos zabiera, głuszą go wołania zgłodniałej rzeszy. Ci krzyczą *divide! divide!* (dzielcie się), a raczej *vide, vide!* skracając słowa wedle zwyczaju angielskiego. Sala tętni od wrzasków *vide! vide! vide!* Hasło idzie z ust do ust na kształt ognia rotami; niekiedy chór cały woła *vide!* Mowca nie daje się zagłuszyć; stronnicy jego w izbie obstają za nim i wrzeszczą *order! order!* (porządek). Walka dwóch chórów trwa długo; wreszcie głodni przyznają przegraną i wychodzą. Przy drzwiach znajduje się stół, na nim leży wielka księga. Wychodzący otaczają ten stół i wołają z rzędu: „Kto szuka pary?“ „Ja szukam!“ odpowiadają głosy z sali.

Tworzą się pary, każda para wpisuje swoje nazwisko do książki; jedni piszą na lewej, drugi na prawej stronnicy. Lewa mieści nazwiska przyjaciół rządu, prawa członków opozycyi. Pomiędzy nazwiskami wymieniają godzinę, o której każda para przyrzeka powrócić do sali. Cały ten manewr zmierza do tego, że poseł A. z partyi rządowej układa się z posłem B. z opozycyi, iż żaden z nich nie powróci do sali, ani będzie głosował przed wymienioną godziną. W ten sposób zrównoważą się straty obydwu stronnictw, gdyby przyszło do głosowania przed powrotem par z obiadu. Posłowie często targują się pomiędzy sobą o godziny. Jeden je prędzej, drugi dłużej. Ten jada w bufecie, tamten pojedzie do domu. Cała ta scena przedstawia więc zgiełk godny śp. sejmików polskich. Łatwo pojąć co się dzieje przy stole, nad którym naraz 50 par się targuje i harkocze o godzinach i minutach.

Odtąd, do dziewiątej prawie, prezentuje się izba niższa nie świetniej od izby lordów. Pozostali posłowie rozwalają się na ławach, wciskają kapelusze na oczy i drzemią; lepsi mowcy oszczędzają swoje płuca na później. Około dziewiątej zaczynają się wsuwać pary nakarmione i napojone. Oblicza rumiane, źrenice rozjaśnione, oraz inne oznaki przypominają nam, że gentlemani angielscy nie zapomnieli popić po sutym obiedzie starego portu, czyli wina Oporto. Okrzyki zadowolenia i owe klasyczne *hear! hear!* (słuchajcie), brzmią teraz zupełnie inaczej, niż przed obiadem. Gladstone, Hartington, Cross, Northiote — słowem Ajaksy i Hektorowie parlamentarni kruszą kopie. Mija północ, pierwsza, druga. Dowcipy, przycinki, apostrofy sypią się gradem. Wreszcie wnosi ktoś, żeby odłożyć debatę do jutra. Inny sprzeciwia się. Znów wołają *vide! vide!* i *order! order!* Wreszcie zwolennicy snu zwyciężają; i *speaker* odracza debatę... W tej chwili, nakształt ostatniego wystrzału na zdobytej reducie, wyrywa się p. Biggar, poseł irlandzki, wzywając Anglią przed sąd Boga i historyi za krzywdy zadane Irlandyi. Anglicy śmieją się i wychodzą z sali. Scena ta powtarza się co wieczora; pan Biggar wsławił się w trzech Królestwach powtarzaniem jej co doby.

Wiem, że opisując debaty parlamentarne, nie przedstawiam czytelnikom nic nowego, gdyż odbywają się one wedle jednego wzoru od lat niepamiętnych, przez kilka miesięcy w każdym roku. Przypominam jednak, że od dni Pitt'a i Fox'a nie wzdymały się tak wysoko fale stronnictw angielskich, jak w roku bieżącym, gdyż nigdy nie miotały niemi jednocześnie tak liczne i potężne wichry. Zewnątrz szumi chmura brzemienna wojną, mroczące Indye, Lewant, Oceany... źródła potęgi i istnienia nawet. Wewnątrz patrzymy na zamęt nieopisany. Zamęt ten nie objawia się jako gwałtowna rewolucya. Reformy angielskie dojrzewają bez rozlewu krwi i przygotowują się pół wieku. Wielkie zmiany teraz dojrzewają. Poglądy filozoficzne szerzą się nawet pomiędzy ludem; reakcya przeciw nim objawia się w coraz żywszej propagandzie katolickiej, której neofitów liczą już na dziesiątki tysięcy rocznie. Skrajne sekty uderzają na istniejący porządek z dziwną zaciekłością. W obozie anglikańskim, wielkiej i jedynej armii zachowawczej w Anglii, rozwielmożnia się tak zwany rytualizm, który dziś liczy 1000 pastorów i milion parafian, ośmiela się mówić o szyzmie, drwi z przesładowań sądowych i sympatyzuje z Rzymem. Rytualiści, Jezuici, sto sekt skrajnych i zwolennicy wolnej myśli nurtują w podwalinach związku kościoła z państwem, bez którego trudno pojąć utrzymanie *status quo* w społeczeństwie angielskiem, a nawet obecną konstytucyą królestwa. Filar po filarze pada pod ciosami dziwnego, nienaturalnego, mimowolnego i bezwiednego może sojuszu sprzecznych i potężnych żywiołów, a stare drzewo anglikańskie, spojone tak ściśle z konstytucyą kraju, jęczy i chwieje się pod ciosami. Patrząc z bliska na to widowisko, jesteśmy świadkami toku jednego z najciekawszych fenomenów, który wyryje się w historyi bieżącego stulecia równie wybitnemi literami, jak wypadki włoskie lub niemieckie, pomimo powolniejszego swego przebiegu. Nie próbuję zgadnąć w jakim stanie wyjdzie barka angielska z tej walki wewnętrznej, chociaż znając energią i zdrowe instynkta większości jej załogi, wierzę, że zamęt stronnictw, dążeń religijnych i zawikłań zewnętrznych nie zniszczy jej potężnej i wspaniałej całości, chociażby strzaskał maszty, burty, ster nawet. Niebezpieczeństwa przeminą, reformy zostaną. Warto jednak śledzić każdy szczegół obecnych zawikłań, i poświęcić więcej miejsca kronice tej wiekopomnej walki, niż opisom sezonu londyńskiego.

O twórczości poetyckiej

przez

Juliana Ochorowicza.

(Ciąg dalszy).

Widzieliśmy, że ażeby w utworach poety była siła i wartość głębsza muszą one wysnuwać się z głębokiego i żywego czucia, z własnych istotnie doświadczonych uczuć, z zasobu różnofarbnych, pamięcią przechowanych wrażeń, wreszcie, że musi je ożywiać zdolność umiejętnego przeciwstawiania różnych wyobrażeń i urozmaicania w ten sposób jedności myśli. Lecz czy przez to już zrozumieliśmy tajemnicę twórczości poetyckiej i jej wpływu na umysły ludzi?

Wszakże i filozof czerpie z zasobu własnych myśli, porusza przedmioty olbrzymie — czas i przestrzeń, myśl i ruch, siłę i materyą, wszakże i on umiejętnie zestawia kontrasty, a gdy chodzi o zlewanie jednych pojęć z drugiemi, to trudnoby w tym względzie metafizykom niemieckim sprostać, dlaczegoż jednak nie jest to poezya? dlaczego ogół pozostaje wobec niej martwym, dlaczego wspaniałe hipotezy metafizyczne nie budzą tego uczucia, co wspaniałe poetyckie rzuty myśli?

— Oto dlatego że filozofia składa się przeważnie z *pojęć* a poezya przeważnie z *wyobrażeń* i to *zmysłowych*.

Ażeby się o tem przekonać posuńmy analizę nieco głębiej.

Weźmy jeden z najwspanialszych i najmniej ziemskich objawów naszej poezyi: *Improwizacyą Konrada* i rozbierzmy ją psychologicznie. Może też znajdziemy jakąś drożynę do tajemnic muzy wiodącą.

Ja mistrz!
Ja mistrz *wyciągam dłonie,*
Wyciągam aż w niebiosa i kładę me *dłonie*
Na gwiazdach, jak na szklannych harmoniki kręgach
To nagłym, to wolnym ruchem
Kręcę gwiazdy moim duchem.
Milion *tonów płynie; w tonów* milionie
Każdy *ton* ja *dobyłem* — wiem o każdym *tonie*
Zgadzam je, *dzielę i łączę*
I w *tęczę* i w *akordy* i w *strofy plączę,*
Rozlewam je we *dźwiękach* i w *błyskawic wstęgach.*
Odjąłem ręce, wzniosłem nad świata krawędzie
I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie
Sam *śpiewam, słyszę* me *śpiewy*
Długie, przeciągłe, jak *wichrów powiewy,*
Przewiewają ludzkiego rodu *całe tonie:*
Jęczą żalem, *ryczą burzą*
I wieki im *głucho wtórzą* —
A każdy *dźwięk* ten, razem *gra i płonie*
Mam go w *uchu,* mam go w *oku,*
Jak *wiatr* gdy *fale kołysze,*
Po *świstach lot* jego *słyszę.*
Widzę go *w szacie obłoku.*

Wszystko to jeden wspaniały, drgający życiem, olbrzymi, ale czysto zmysłowy obraz. Ileż tu porównań, kontrastów, przenośni, a wszystko zmysłowe, ale jak świetnie skojarzone! Wszystko się uzupełnia, objaśnia, uplastycznia — jedno wyobrażenie nie kłóci się z drugiem tak jak w owych mglistych „tajniach mózgowych." A pod tem wszystkiem czuć prawdę najczystszego, nadludzkiego niemal uczucia i polotu, w szacie czysto zmysłowej. Lecz oto czytamy dalej i owiewa nas całkiem inne, lżejsze, eteryczniejsze powietrze — doznajemy wrażenia takiego, jakby poeta, prowadząc nas przez skały doliny i strumienie, przez gwarne gaje i pełne rozmaitości ogrody—naraz wprowadził nas nad brzeg olbrzymiej fali oceanu, jednostajnej lecz majestatycznej, cichej lecz pełnej siły i ogromu. Słuchajmy:

B o g a, natury g o d n e takie pienie!
Pieśń to wielka, pieśń t w o r z e n i e
Taka pieśń jest s i ł a, d z i e l n o ś ć
Taka pieśń j e s t n i e ś m i e r t e l n o ś ć:
J a c z u j ę n i e ś m i e r t e l n o ś ć, n i e ś m i e r t e l-
(n o ś ć t w o r z ę —
Cóż Ty większego mogłeś zrobić B o ż e?

Pytamy się w czem leży tajemnica tej zmiany, tego urozmaicenia i znajdujemy ją w psychologicznie odmiennej konstrukcyi dwu tych ustępów: w pierwszym były prawie same wyobrażenia i obrazy zmysłowe, w drugim prawie same pojęcia i porównania umysłowe. Czytelnik może nie spostrzegać tego, ale czuje urok przejścia.

Zobaczmyż jak się autor zachowuje dalej? Oto znowu wprowadza nas w świat zmysłów:

Patrz jak te myśli *dobywam* sam z siebie,
Wcielam w słowa; one *lecą,*
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świecą;
Już *dalekie...* czuję jeszcze
Ich wdziękami się lubuję
Ich *okrągłość dłonią czuję*
Ich *ruch* myślą odgaduję
K o c h a m w a s m e d z i e c i w i e s z c z e!

Ostatni wiersz jest znowu nagłym odskokiem do formy umysłowej, poczem następuje przepołowienie tego rodzaju:

M y ś l i moje! *gwiazdy* moje!
C z u c i a moje! *wichry* moje!
W pośrodku was jak ojciec wśród rodziny stoję,
W y w s z y s t k i e m o j e *).

Usuńmy tę misterną choć bezwiedną robotę psychologiczną, a cały urok zginie: będziemy mieli albo przeładowanie zmysłową mazajką obrazków i nużącą plastyczność, albo też górnolotną, mdłą i niejasną alstrakcyjność, któraby nigdy podobnie silnego wrażenia wywołać nie mogła.

*) Ob. Z Dziennika psychologa. Warszawa 1876, str. 43, 44 i nast. Porównaj także str. 114.

*

Estetyk Lemcke, który na zmysłowy początek nadzmysłowych pojęć pobieżnie tylko zwrócił uwagę, wypowiada przecież bardzo trafne spostrzeżenie, potwierdzające to com powiedział: „Nie wiemy częstokroć sami, dla czego mowa, nacechowana najwyższą prostotą, wydaje nam się tak poetyczną, tak pełną nieporównanej siły i jasności. Przypatrzywszy się jednak bliżej, znajdziemy, że *cały urok leży w używaniu wyrazów, które zachowały jeszcze ślady znaczenia zmysłowego* tam nawet, gdzie mają wszelki pozór nadzmysłowy. Aby odnaleść taki wyraz, potrzeba delikatnego uczucia, głębokiej znajomości mowy i wysoce rozwiniętego zmysłu spostrzegania.“

Ta ostatnia uwaga wygląda tak, jak gdyby autor mniemał, że poeci świadomie dobierają takich wyrazów i zwrotów—tymczasem po większej części tak nie jest. Tu potrzebna jest tylko ta znajomość mowy, którąbym nazwał *machinalną*, i która na zasadzie samej asocyacyi nasuwa poecie wyrazy, najlepiej odpowiadające jego myślom — szperanie po słowniku i teoretycznie nabyte językoznawstwo nie wieleby tu pomogło. Dobrzy filologowie są bardzo rzadko dobrymi poetami.

Ale wróćmy do wyobrażeń zmysłowych.

Widzieliśmy jak wielką jest ich przewaga w poezyi; i rzeczywiście możnaby powiedzieć, że o ile filozofia byłaby niemożebną bez zdolności uogólniania czyli abstrakcyi, o tyle poezya nie mogłaby istnieć bez możności uplastyczniania pojęć ogólnych, przez podstawienie zamiast nich, obrazów zmysłowych.

Lecz w tej uwadze mieści się zarazem inna, którą musimy nieco wyraźniej wypowiedzieć. Utwór rymowany nie będzie jeszcze poezyą przez to samo, że jest w nim przewaga wyobrażeń zmysłowych. Do tego potrzeba czegoś więcej; do tego potrzeba, ażeby te wyobrażenia były nie celem, lecz tylko środkiem, ażeby były zręcznie użytem *narzędziem pojęć i uczuć*.

Weźmy przykład: otwieramy poemacik Ujejskiego i znajdujemy tam między innemi taki ustęp:

...Bo duch w zaklęctwie swem nie siedzi
Ani w korynckiej złotej miedzi,
Ani w purpurze, ani w księgach,
Ale on chwieje się na kręgach
Powietrznych, i tam tęskny czeka
Aż go przywoła pierś człowieka —
I trza do niego się podnosić,
Bo on się na dół nie da sprosić!

Jest to rozumowanie — ale i obraz zarazem; jest wywód idei — ale i szereg zestawień zmysłowych; nie osobno, lecz jedno z drugiem — a raczej jedno przez drugie. Poeta nie wypowiada myśli jako takiej, nie wypowiada wprost uczuć, które tę myśl ożywiają, tylko rzuca obraz — i jest pewien, że abstrakcya czytelnika zrobi resztę. Filozof postąpiłby przeciwnie, onby przedstawił myśl w formie pojęć, a od czytelnika żądałby, aby tym pojęciom wyobraźnia jego dała podkład zmysłowy, umożliwiający zrozumienie. Onby to tak napisał:

„Prawdy moralne nie są przywilejem jednostek mających w ręku władzę, nie są przywiązane do pewnych form i zamknięte w pewnych tylko miejscach lub utworach umysłu ludzkiego, lecz budzą się w nas same z rozważania świata nas otaczającego i trzeba tylko umieć podnieść umysł, ażeby je zdobyć.“

Zobaczmy jakby to dalej rozwijał filozof-moralista.

„Lecz ażeby te prawdy przyswoić sobie, potrzeba zapomnieć o pospolitych zabiegach życia i nagrodach, a natomiast ze świeżym i jasnym umysłem w prostocie ducha przygotować myśl do ich zrozumienia.“

Tymczasem poeta zamiast podobnego wywodu, maluje dalej swój obraz:

A do tej jazdy tylko zdolny
Ten który lekki jest i wolny,
I już odrzucił te ciężarne
Ciału przytulne a tak marne
Zarobki własne i posagi
A stanął świeży, jasny, nagi.

„Pojęcia wasze są błędne i ciemne — mówi dalej filozof-moralista — zatraciliście już nawet pozory wielkich cnót w niedolach życia i tylko czasem wśród pomyślnych warunków odezwie się w was jeszcze szlachetniejsze uczucie.“ Zamiast tego, poeta tak mówi:

Chodzicie błędem i ciemnością...
Często wam ogień gasł niebieski;
Jesteście jako płaszcz królewski,
Co purpurowe barwy zatrze
W puszczy na słocie i na wietrze,
Lecz gdy promienie mgły rozpędzą:
Gdzieniegdzie złotą świeci przędzą. itp.

Rozległość w odskoku wyobrażeń zmysłowych od pojęć które symbolizują, może być oczywiście mniejszą lub większą. Zbyt mała nie wyda siły, zbyt wielka może ją zwichnąć. Przypuśćmy np.: że poeta chcąc obrazowo przedstawić odkupienie świata przez Chrystusa, tak pisze:

„On was obleje wodą święconą.“

Gdyby tak napisał, obraz oblewania wodą, jako zbyt pospolity, jako zbyt mało odskakujący od pojęcia błogosławieństwa, odkupienia, z którem się często kojarzy — nie wywołałby żadnego poetyckiego efektu. Poeta więc używa silniejszego odskoku i mówi:

„On was ogniowym zmyje chrzestem.“

Wyobrażenie „ogniowego chrztu“ jest silniejsze, bo więcej odbija od formy abstrakcyjnej, a jest przytem dość niejasne, ażeby mogło ujść za firmę dla pojęcia. Gdyby poeta wziął wyobrażenie wyrazistsze, bardziej zmysłowo określone, a więc gdyby jeszcze powiększył odskok pomiędzy pojęciem a jego zmysłowym przedstawicielem, wówczas wpadłby w drugą ostateczność i zwichnął całą siłę polotu. Potrzeba tylko żeby np. napisał:

„On was piorunem ochrzci elektrycznym.“

Ale prawdziwy poeta instynktownie czuje te granice, po za któremi zamiast podbijać fantazyą czytelnika, łamałby jej skrzydła. Prawdziwy poeta umie ten odskok od pojęć do zmysłów rozszerzyć aż do ostatnich granic możliwych, granic, które rodzą uczucie wzniosłości; lecz w porę zwija skrzydła tak, że fantazya czytelnika ma czas odetchnąć i widnokrąg, który mu każą objąć, mimo całego swego ogromu nie będzie niedościgłym, a harmonii dźwięków nie rozszarpie najazd dysonansów. Np. czy nie jest to olbrzymią swobodą fantazyi, gdy autor każe Chrystusowi ludzi i światy brać w połę i iść z niemi przez niebiosy — a jednak czy jest kto coby odmówił prawdziwej poetyckiej prostoty temu wspaniałemu obrazkowi. Posłuchajmy:

On was ogniowym zmyje chrzestem
I nowe nada wam przymierze,
A kiedyś w połę was zabierze
Jak żniwiarz swe dojrzałe kłosy,
Do ojca pójdzie przez niebiosy,
Przed nim wysypie ze swej szaty
I was i narody i światy!

(C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XVIII.

(J.) Zawiązało się u nas na wzór krakowskiego: Towarzystwo święcenia niedzieli.

Kiedy wiadomość ta w formie pogłoski doszła do nas, sądziliśmy że będzie to rzecz bardzo niewinna. Członkowie towarzystwa zobowiązują się sami między sobą ściśle próżnować w dnie świąteczne, a obok tego modlić się i spełniać dobre uczynki — co wszystko wprawdzie możliwem jest i bez stowarzyszenia, ale co to komu szkodzi, że ktoś woli święcić dzień święty w kompanii, aniżeli w odosobnieniu. Obowiązki członków Towarzystwa, tak jak one się nam przedstawiły w pierwszej chwili, byłyby w istocie niezbyt ciężkie. Lecz zastanawiając się nad możliwemi celami Towarzystwa, doszliśmy do wniosku, że przecież niepodobna ażeby ono tak dziecinnie pojmowało swe zadanie, że jednem słowem musi tu chodzić o głębszy wpływ moralno religijny, że członkowie będą się starali wyrugować z naszych salonów np. grę w karty, która nieraz całe dnie świąteczne pochłania, że będą się starali o nadanie poważniejszego i moralniejszego charakteru rozrywkom niedzielnym młodzieży rzemieślniczej, że postarają się o to, ażeby nie święcono niedzieli w szynkach od rana do nocy itp.

Gotowaliśmy się już do poparcia szlachetnych usiłowań Towarzystwa, gdy oto nadesłano nam statut złożony z XV artykułów. I cóż? Jest tam wszystko czego potrzeba propagandzie jezuickiej, z wyjątkiem jedynie tego, co według §. 1 miało stanowić cel Towarzystwa: „umoralnienie społeczeństwa naszego.“

Chodzi tu ni mniej ni więcej tylko o ustanowienie *kahału jezuickiego*, któryby wywierał pewien nacisk moralny na społeczeństwo, wkradając się do ognisk rodzinnych i szpiegując zachowanie się jednostek. Członkowie stowarzyszenia mają „niedozwalać“ aby ci, którzy od nich zależą podejmowali w święta cięższe roboty — „*wpływać* na członków swej rodziny i domowników, aby obowiązki swe katolickie wypełniali,“ „niedozwalać aby ci, którzy od nich zależą w dnie świąteczne kupowali lub sprzedawali od godz. w pół do 10ej do 4ej,“ co więcej „nie kupować wcale w tych handlach i sklepach, które w święta w godzinach wymienionych nie są zamknięte,“ a natomiast protegować tych, którzy zamykają itp. Towarzystwo więc przywłaszcza sobie prawo wywierania nacisku moralnego na jednostki zależne, a więc krępowania ich swobody sumienia, wychodząc zapewne z zasady, którą podał Savonarolla, że „równie występnym jest ten kto grzeszy, jak i ten kto grzeszyć pozwala;“ do jakich zaś konsekwencyj prowadzi taka „opieka“ wiemy z historyi fanatyzmu. Ciekawą jest także *praca* Zarządu w tem stowarzyszeniu, który ma wy-

dawać *uchwały* większością głosów i który prawdopodobnie ma zamiar odgrywać rolę trybunału religijnego roztrząsającego postępowanie członków i niečzłonków.

O usunięciu pijaństwa, gier hazardowych itp. sposobów święcenia niedzieli, nie ma nawet wzmianki w statucie.

O ile wiemy, dotychczas większość pp. kupców odmówiła udziału w stowarzyszeniu, obiecując jednak należyć wtedy, gdy i kupcy wyznania mojżeszowego zobowiążą się zamykać sklepy w święta...

* * *

Na wtorkowem posiedzeniu Towarzystwa przyrodników prof. Stanecki mówił o swych nowych spostrzeżeniach nad ruchami igły magnetycznej, pływającej po wodzie i wystawionej na działanie prądów elektrycznych. Sprawozdanie dra Godlewskiego z dziedziny botaniki, dla braku czasu odłożono do następnego posiedzenia.

* * *

Polsko izraelickie stowarzyszenie, o którem w swoim czasie pisaliśmy w artykule wstępnym, rozwija swą działalność w sposób prawdziwie dla kraju pożyteczny. W odezwie rozesłanej przez komitet do wybitniejszych żydów na prowincyi czytamy między innemi, że stowarzyszenie wzięło sobie za zadanie „dążyć do ustalenia i utrzymania zgodnego pożycia tak pod względem politycznym jako też i socyalnym z ludnością chrześciańsko-polską w kraju, wzmacniać poczucie obywatelskie przez gorliwy i duchowi czasu odpowiedni współudział we wszystkich sprawach życia publicznego i gminnego, krzewić zasady postępu i rozpowszechniać wiedzę, mianowicie znajomość języka polskiego i jego literatury między żydami w Galicyi zamieszkałymi."

Z przyjemnością notujemy, że już dzisiaj widocznym jest wpływ Towarzystwa, coraz większa bowiem ilość żydów, zaczyna usuwać ze swych domów język niemiecki, zastępując go polskim.

* * *

Czytelnicy nasi przypominają sobie sprawozdanie z „Wycieczki do Wiśniowca" p. Pawłowicza kustosza Zakł. Ossol., w którem podał ciekawe szczegóły dotyczące sprzedaży zawartych tam zabytków. Obecnie *Gazeta Lwowska* podaje nowe w tym względzie wiadomości: Sprawozdanie p. Pawłowicza, powtórzone w wielu dziennikach, zwróciło uwagę interesowanych, i rozbudziło żywe zajęcie w gronie osób, gotowych ocalić choć część tych szacownych zbiorów od przejścia w niepowołane ręce. Odbieraliśmy z tego powodu sami z różnych stron listy z prośbą o bliższe wskazówki; nie mogliśmy im jednak uczynić zadość, nasze bowiem wiadomości ograniczały się do podanych przez. p. Pawłowicza szczegółów. Obecnie z przyjemnością dzielimy się z czytelnikami nowiną, zaczerpniętą z jak najlepszego źródła, bo od osoby mającej bezpośrednią styczność z samą sprawą. Sprzedaż wiśniowieckich zabytków została w tych dniach ostatecznie zdecydowaną. Zgłasza się już do zarządcy zbiorów wielu ochotników do cząstkowego nabywania różnych przedmiotów, między nimi wiedeńscy spekulanci wyznania mojżeszowego; lecz jest podobno zamiarem właściciela sprzedać jeśliby się dało, wszystko razem jakiemu zamożnemu miłośnikowi historycznych i artystycznych pamiątek, coby w rzeczy samej było najpożądańszem, boby utrzymało w całości tyle zabytków, gromadzonych staranie w ciągu wieków i uchroniłoby je od przewidywanej profanacyi. Ponieważ jednak nie bardzo można liczyć, aby w dzisiejszych stosunkach znalazł się amator pochopny do wyłożenia na podobny cel kilkudziesięciu może tysięcy rubli, najpodobniejszem więc jest do prawdy, że za kilka tygodni odbędzie się licytacya, na którą interesowani powinni przybyć albo sami albo wysłać pełnomocników. Sprzedawane będą wówczas wszystkie ruchomości a jest ich niemało i to doborowych. W kilkudziesięciu komnatach zamkowych kryje się niezliczona mnogość wspaniałych mebli nowych i starych, po części z XVII wieku, około stu portretów historycznych królów i bohaterów, obrazy historyczne polskie, obrazy artystyczne w oryginałach i kopiach pierwszych szkół i mistrzów (jest ich około czterdziestu) przeszło trzysta innych portretów i malowideł, kilkanaście dzieł dłuta, świetne zabytki bronzowe, rozkoszne obicia i malatury chińskie, ornamenta i cacka salonowe, statuetki, urny i kilkadziesiąt zwierciadeł. A obok tego wszystkiego znakomita biblioteka, za którą jeśli godzi się wierzyć, dawano już podobno 17.000 rub. Z pomiędzy portretów zasługują na wymienienie: Witold, Zygmunt I, obaj Sasi, Stanisław August, a dalej Wiśniowieccy, Tarłowie, Lubomirscy, Marcin Kazanowski, xiąże Karol Radziwiłł Panie Kochanku, Czartoryscy, Potoccy, starosta Kaniowski i t. d. Z innych Dymitr i Maryna w carskich strojach jakkolwiek przerażają pędzlem, budzą zajęcie oryginalnością swoją. O terminie licytacyi, jeśli takowa nastąpi, nie omieszkamy donieść.

Piśmiennictwo francuzkie.

Victor Hugo. L'art d'être grand-père. 1 vol. Paris, 1877. Calmann Lévy.

Gustave Flaubert. Trois contes. 1 vol. Paris, 1877. Charpentier.

F. T. Perrens. Histoire de Florence. 3 vols. Paris et Londres. Hachette et Co.

Edouard Sayous. Histoire générale des Hongrois. 2 vols. Paris, Didier.

Charles de Mazade. Le comte de Cavour. Paris. Plon.

Emilie Gebhart. Rabelais: la renaissance et la reforme. Paris et Londres, Hachette et Co.

Jules Janin. Oeuvres diverses. Critique dramatique. Tome 1er: *Comédies.* Paris, 1877. Librairie des bibliophiles.

Alphonse Karr. L'esprit d'A. K.: pensées extraites de ses oeuvres completes. Paris. Lévy.

Georges Caumont. Jugements d'un mourant sur la vie. Paris, 1877. 1 vol. Sandoz.

Wielki wieszcz francuski mimo sędziwego wieku, mimo licznych zajęć politycznych, mimo tylu nieszczęść rodzinnych nie przestaje wzbogacać literatury francuzkiej coraz nowemi arcydziełami poezyi. Niedawnośmy mieli dalszy ciąg legendy wieków, obecnie wyszła u Lévy'ego „Sztuka być dziadkiem" (L'art d'être grand père). Poeta o ognistem słowie, rzucający pioruny na wrogów postępu i cywilizacyi, śmiertelny wróg tyranii pochyla się nad kołyską wnucząt, i oczy jego rzucające przed chwilą błyskawice, zabiegają łzami

.....Soyez Dante ou Caton
Pour les puissants, mais non pour les petits. Va-t-on
Faire la grosse voix contre ce frais murmure?

Z każdego wiersza przemawia niewymuszona czułość, serdeczność, przywiązanie do maluczkich. Po walkach i wysiłkach poeta nad kołyską znajduje spokój i odświeża się; sam to najlepiej maluje w następującej zwrotce:

Je n'ai pas plus courbé la tête qu'un écueil;
Je ne suis pas de ceux qu'effraye un ciel en deuil,
Et qui, n'osant sonder les Styx et les Avernes,
Tremblent devant la bouche obscure des cavernes.
Quand les tyrans lançaient sur nous du haut des aires
Leur noir tonnerre ayant des crimes pour éclairs,
J'ai jeté mon vers sombre à ces puissants sinistres;
J'ai trainé tous les rois avec tous leurs ministres,
Tous les faux dieux avec tous leurs principes faux,
Tous les trones liés à tous les échafauds,
L'erreur, le glaive infâme et le sceptre sublime,
J'ai trainé tout cela pêle-mêle à l'abime;
J'ai devant les césars, les princes, les géants
De la force, debout, sur l'amas des néants,
Devant tous ceux que l'homme adore, exècre, encense,
Devant les Jupiters de la toute-puissance,
Eté quarante ans fier, indompté, triomphant,
— Et me voilà vaincu par un petit enfant!

Jeżeli dzieła poprzednie zrobiły Hugonowi nieśmiertelną sławę, to obecne nauczy cenić go jeszcze więcej jako — c z ł o w i e k a.

P. Flaubert, autor słynnej powieści „Madame Bovary," realista czystej wody, wydał „Trzy opowiadania," które krytyki francuzkiej wcale nie zbudowały. Ogromny talent autora pani Bovary znikł gdzieś zupełnie: opowiadania ani w pomyśle ani w wykonaniu nie mają nic oryginalnego, nic świadczącego o wyższym polocie talentu. Najlepsze jeszcze ze wszystkich jest pierwsze opowiadanie, które jednak robi wrażenie nie obrazu artystycznie wykonanego, lecz fotografii i to z przedmiotu, który seryo rzecz biorąc nie zasługującego zupełnie na uwagę. Jest to historya prostej służącej normandzkiej, poczciwej, lecz wielce ograniczonej, której idiotyczne wylewy serca nikogo obchodzić nie mogą. Widocznie p. Flaubert miał oryginał przed sobą i zdjął z niego potografią. Lecz wielkie pytanie, czy oryginał wart był tego?

W chwili, kiedy we Francyi stosunki polityczne i stosunki czysto moralnej natury z Włochami stały się tak ożywionemi, w chwili kiedy jedna część narodu rwie się ku zjednoczonemu państwu, a druga odpycha od siebie rękę, która odebrała głowie kościoła jej władzę świecką, w chwili tej każde nowe studyum o Włoszech budzi ogólne zajęcie. To też *Dzieje Florencyi* pana *F. T. Perrensa* przyjęte zostały z ogromnem zajęciem. Znane są powszechnie słowa, które Waddington powiedział w Izbie deputowanych: „Panowie znacie charakter Francuzów; żądają oni Rzeczypospolitej, lecz nie mają zamiarów szukać wzorów w Sparcie; ich ideałem są Ateny lub Florencya". Słowa te mogły wybornie służyć za motto dla pracy p. Perrensa, który jest rozmiłowany w historyi włoskich republik i którego ostatnią pracą był szkic biograficzny o Savonaroli; pisząc ją miał na myśli wydanie obszernej historyi florentyńskiej, lecz ponieważ o tem samem marzył i sędziwy były prezydent Thiers, i zebrał wielką ilość materyałów, więc przez czas pewien zaniechał tej myśli. Obecnie Thiers wyrzekł się swego ulubionego projektu i pan Perrens wystąpił z okazałem trzytomowem dziełem. Historya Florencyi, to rzec można historya Włoch, bo miasto to lepiej je reprezentuje niż Rzym, niż Neapol, niż Genua. Było ono sercem ogólnego ruchu włoskiego.

Pan Perrens przestudyował znane i nieznane dotychczas źródła i zabrał się z ogromnym materyałem do pracy. Zaczyna od dawnych Etrusków, opisuje powstanie i rozwój życia municypalnego, wykazuje wpływ handlu na stosunki polityczne, wpływ olbrzymiego rozwoju sztuk na uszlachetnienie stosunków między kupieckimi mieszkańcami. Pierwsze dwa tomy zajmują się historyą polityczną, a ostatni życiem społecznem, literaturą i sztukami; do dzieła dołączone są wyborne plany i kilka fac-similów.

Z działu historycznego zwraca też na siebie uwagę *Historya Węgrów* p. Edwarda Sayons, który był przez ministra oświaty wysłany do Węgier i tam zebrał ogromny materyał historyczny. Dotąd p. Sayons wydawał tylko *essays* z historyi węgierskiej, obecnie podał ją jako całość. Pierwsza część jego dzieła zajmuje się początkiem narodu i ma szczególne znaczenie dla pracujących nad etnografią i filologią. Druga cześć rozpoczyna się w 12 stuleciu i powoli przenosi nas przez wieki do czasów obecnych. Może niedługo dopisać trzeba będzie kilka ważnych kart nowych do historyi Węgier; obecna wojna może naj-

więcej się odbije na losach przyszłych tego narodu; lecz w każdym razie historya świadczy, że jego patryotyzm, jego wytrwałość w najcięższych chwilach zdołają odnieść zwycięstwo w najgorszych nawet warunkach.

U Plona wyszła biografia wielkiego męża stanu włoskiego Cavoura, przez pana Karola de Mazade. Zdaje się, że główną myślą autora było zestawienie obu zjednoczycieli Cavoura i Bismarka, i wykazanie o ile pierwszy był wyższym od drugiego. P. Mazade uważa Cavoura za wzór, za ideał prawdziwego patryoty. U jednego i u drugiego celem życia było zjednoczenie rozbitego państwa, lecz Cavour z nieporównaną wytrwałością dążąc do osiągnięcia tego celu, działał zawsze pod wpływem liberalnych idei i gardził używaniem prześladowczego oręża, nawet gdyby chodziło o spełnienie marzeń całego życia; Bismark tymczasem nie znosił opozycyi, powalał ją zawsze na ziemię, opierając się na sile pięści, i zdobył wprawdzie tą drogą tryumfy, lecz jednocześnie przygotował na przyszłość zawikłania, grożące ponownym upadkiem. Książka pana Mazade czyta się z wielką przyjemnością i zajęciem.

Wydawnictwo pośmiertne wybranych dzieł *Jules Janina* idzie dalej bez przerwy. Wyszły teraz najlepsze z owych sławnych poniedziałkowych fejletonów. Zebrało się tych najlepszych na 4 tomy, z których dwa już wyszły z druku.

Fejletony te entuzyazmowały Francyą. Poprzednikiem Janina był Duviquet, który dział swój prowadził w Debatach, w tonie niezmiernie surowym i oględnym. Zmuszony wyjechać na prowincyą, powierzył tymczasowe zastępstwo Janinowi i... zginął przyćmiony blaskiem nowego talentu. Już pierwszy feljeton zastępcy był ewenementem w Paryżu — przez kilka dni tylko o tem mówiono. Przeblysk młodzieńczego dowcipu, ten śmiech szczery *qui lassait voir trente-deux dents* był nowością niesłychaną, trafiającą do przekonania Francuzów. Janin stał się odrazu ulubieńcem; uwielbiano go fanatycznie.

Feljetony jego to arcydzieła stylu iskrzącego się, pełnego barwy i blasków niesłychanej werwy, a przytem wdzięku i smaku nieporównanego. Janin był w poglądach swoich nieraz paradoksalnym, lecz ginęło to wszystko wśród olśniewających błysków stylu; artyzm brał górę nad treścią. Kto chce poznać wzór feljetonowego pisania, kto w kolorycie szuka wytchnienia po pełnych erudycyi lecz często nadto ciężkich i wymundurowanych feljetonach obecnych, niech czyta Janina.

Mało który z pisarzy francuskich tak się nadaje do kompilacyi, jak Alfons Karr, który w swych dziełach rozsypał ogromne skarby dowcipu, i trafnych poglądów na społeczeństwo. Humor jego ma charakter Arystofanesowski, umie ugodzić w najsłabsze strony towarzyskiego życia, nie powodując się namiętnością chwilową, lecz postępując umiejętnie i z rozwagą, jak doktór wycina skalpelem wrzód zaraźliwy. *Esprit d'Alphonse Karr* jest zbiorem tego, co w dziełach Karra było najlepszem, tego, co miało największą doniosłość.

Jakiż przedział niezmierny pomiędzy obu poprzednio wzmiankowanemi publikacyami iskrzącemi się dowcipem, żartami, ironią, a smutnym okrzykiem młodzieńca na łożu śmierci leżącego! *Georges Caumont*, autor *Jugements d'un mourant sur la vie* skazany został przez naukę na śmierć niechybną. Choroba przykuła go do łóżka i widział śmierć bez przerwy się zbliżającą. Rachował czas jej przybycia na miesiące, na tygodnie, na dnie, a potem... na godziny. W książce jego dziwnej, przejmującej, wymownej łzami i rozpaczą, nie trzeba szukać jasnych i spokojnych poglądów na świat. To protest ducha przeciw władzy ginącego ciała, rozpaczliwy protest przeciw nieubłaganej konieczności, anatema rzucona na siły nieba i przyrody. Kto ma mocne nerwy i zajrzeć może odważnie w głąb tej duszy szarpanej przez demona rozpaczy, niech weźmie książkę do ręki, a znajdzie tam wielki materyał do poznania anatomii ducha ludzkiego.

Pan Gebhart wydał swe uwieńczone przez Akademią studyum o Rabelais'm, którego wprowadza odrazu na scenę, stawia przed publicznością i każe mu słuchać długich pochwał i uwielbień. W pierwszej części rozbiera działalność Rabelais'go, jako człowieka, opisuje wpływ Reformacyi na jego poglądy społeczne i religijne i jego quasi sceptycyzm. W drugiej charakteryzuje go jako pisarza, a w trzeciej rozbiera szczegółowo *Pantagruela* i *Gargantuę*. Naturalnie, trudno od książki pisanej w celu wychwalania Rebelais'go żądać bezstronnego krytyzmu.

TYDZIEŃ WARSZAWSKI.

IX.

Bohaterem dnia jest Rossi. Jeżeli w Otellu wywołał on podziw, to w Hamlecie do podziwu przyłączył się zapał, Rossi bowiem rozwinął w tej roli całe bogactwo swego szlachetnego liryzmu. Pod względem idealności była to antyteza grubo zmysłowo pojętego Otella. Dla Rossiego *Hamlet* nie jest ani melancholikiem, ani bierną nerwowo-pobudliwą istotą, ani wreszcie gorżką ironią, uosobionym pesymizmem, jak go niektórzy pojmują — lecz jest to szlachetny, idealny, artystyczny typ człowieka uczuciowego, którego całe zachowanie się objaśnia przepaść dzieląca jego idealne upodobania z jego prozaicznem i poziomem otoczeniem. — Równie oryginalnie pojętym był *Macbeth*, jako uosobienie siły czynu, podczas gdy Hamlet był uosobieniem uczuciowej rozwagi. Rossi nie dał Macbetowi tej rozkielznanej dzikiej energii, jaką przywykliśmy przywiązywać do tej postaci, lecz dał mu tę energią spokojną, klasyczną, która imponuje pod wpływem dzikich pobudek, a przeciwnie wobec sumienia słabnie. Można się nie zgadzać na takie pojęcie tych ról, ale trzeba przyznać, że da się ono wymotywować, i że świetniejszego oddania tak pojętych charakterów napróżnobyśmy szukali u najznakomitszych dzisiejszych artystów. Nareszcie czwarty występ w *Królu Learze* wypadł jeszcze świetniej niż się spodziewano. Artysta pojął rolę „najnieszczęśliwszego z ludzi" także nieco łagodniej, niż to się zwykle czyni, ale za to postać biednego starca zyskała na wzniosłości i sympatyczności. Zapał publiczności był niesłychany; Rossiego wywoływano po każdym akcie.— W końcu przyszłego tygodnia dyrekcya teatrów daje obiad pożegnalny na cześć znakomitego artysty; przedtem jednak odbędzie się przedstawienie mięszane z różnych wyjątków, w którem najpierwsze nasze siły chcą się popisać przed Rossim. (W przyszłym tygodniu ujrzymy także po raz pierwszy komedyjkę Felicyana Faleńskiego p. t. „Krzyżyk na drogę".) — Rossi wystąpi jeszcze w „Romeo i Julii", w „Keanie" i w „Ludwiku XI." — *Dwie Blizny* Fredry, grano już kilkakrotnie, ale z niewielkiem powodzeniem. Ażeby zaś skończyć z nowinami teatralnemi, donoszę wam jeszcze, że w tych dniach przybywa do Warszawy pani Friderici-Jakowicka, zaproszona do teatru na czas dłuższy, że spodziewamy się tu niezadługo pani Zimajer, która występować będzie w trupie Kopystyńskiego w Alhambrze, że pani Modrzejewska oczekiwaną jest na jesień — a panna Deryng wyjeżdża na lato do Krakowa na gościnne występy.

Znana wam zapewne odezwa hrabiny Kotzebue do serc naszych jako mieszkańców „Królestwa Polskiego" (już nie „Nadwiślańskiego kraju", jak było dotychczas) o składki na rannych moskiewskich, odniosła swój skutek; nietyle jednak przez wzruszenie moralne, ile przez środki praktyczniejsze, jakich się w tym celu chwycono. Rozsyłane wezwania i osobiste zaproszenia członków komitetu, wywierające nacisk moralny na osoby wyższych stanowisk musiały zapewnić składkom powodzenie. Rozumiemy, że każdy będący w jakiej takiej od władz zależności, musiał coś dać i nikomu tego za złe nie bierzemy — ale czego nie możemy pojąć, to tej wyjątkowej czołobitności czy też poprostu tego głupiego tchórzostwa, które kazało niektórym paniom i panom występować z datkami więcej niż hojnemi. Hrabina Kotzebue, jenerał-gubernatorowa dała tylko 500 rsr., p. Aleksander Kotzebue tylko 5 rsr., ale p. Franciszek hr. Łubieński, p. W. E. Rau, właściciel fabryki i pani Augustowa hr. Potocka *musieli* dać po 1000 rsr. — a p. Sobański aż 10.000 rsr., niech znają co to pan! — A tymczasem *w kraju* tyle nędzy, tyle potrzeb niezaspokojonych! — Ale co tam kraj, wobec uśmiechu cara!

Ruble ciągle spadają, rozumie się papierowe — ale też srebrnych i za lekarstwo nie dostaniesz. Żydkowie tymczasem korzystając z wyższych kursów srebra, skupują po sklepach drobną monetę, mianowicie dawnego stempla, płacąc o 10 procent wyżej. Wskutek tego dawne sztuki srebrne prawie zupełnie wyszły z kursu. Ci „drobni przemysłowcy" zawsze znajdą dla siebie odpowiedni zarobek, czy to pokój czy wojna — ale to smutne, że zastój handlowy, powodując upadek biedniejszych kupców, wywołał także większą nędzę proletaryatu i częste kradzieże. Od połowy stycznia do 20 maja zameldowano w policyi 971 kradzieży na sumę 71.781 rubli!

Dotychczas są to jedyne *korzyści*, jakieśmy z wojny i z przygotowań do niej odnieśli. No — ale przynajmniej po wojnie obiecują nam dzienniki moskiewskie konstytucyą...

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *Bartoszewicz Julian.* Dzieła tom I. Historya literatury polskiej potocznym sposobem opowiedziana. Wydanie drugie powiększone. Tom I. 8ka str. 400. Kraków 1877 r. 3·50

Zawiera historyą literatury od najdawniejszych czasów aż do końca złotej epoki.

— *Bernatowicz F.* Pojata córka Lezdejki albo Litwini w 14 wieku. Romans historyczny w 4 tomach. 8ka str. 253 i 259. Lwów. 1877 2·50.

— *Brenikowski Aleksander.* Mysza wieża wśród jeziora Gopła. Powieść słowiańska z pierwszej połowy IX wieku. 8ka str. 120. Lwów. 1877. 80.

Gloger Z. 572 krakowiaki ze źródeł drukowanych i ust ludu. 15ka str. 153. Warszawa 1877. 70.

— *Krasuski M.* Rozbrat myśli i ujemne strony naszego piśmiennictwa. 8ka str. 66. Lwów 1877. 70.

Ocenę tego dzieła podaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Tygodnia"

— *Merunowicz Teofil.* Rozwój miasta Lwowa. 16ka str 150. Z planem miasta Lwowa. Lwów. 1877. 1·—

Zawiera: Wstęp. Budowle prywatne i rządowe. Budowle miejskie. Magazyny handlowe. Sprawe wydziału lekarskiego. Zewnętrzne uporządkowanie miasta. Droga obwodowa. Miejskie dobra ziemskie. Lwowskie targi żywności. Lwowscy przemysłowcy i rękodzielnicy. Chrześcijańscy kupcy. Lwowscy żydzi. Lwowskie gospodynie. Okolice Lwowa. Stosunki społeczne. Stowarzyszenia. Życie umysłowe. Konkluzya. (Patrz poprzedni Nr. „Tygodnia.)

— *Mohort Julian.* Listy do przyszłej narzeczonej. 8ka str. 60. Lwów 1877. 60.

— *Monniot P.* Niepoprawna Nina czyli pierwsza spowiedź. 8ka str. 145. Warszawa 1877 oprawne 1·25.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Nakładem księgarni Wł. Belzy wyszła z druku jedna z najpopularniejszych komedyjek Fredry (syna) nosząca tytuł: „Przed śniadaniem." Książka ta opatrzona portretem autora odznacza się starannem wydaniem i przystępną ceną.

— „Program Robotników" znanego socyalisty Ferdynanda Lassala wyszedł w polskim przekładzie z drukarni Związkowej nakładem A. Mańkowskiego.

— Nakładem księgarni Karola Wilda wyszedł przekład powiastki Méry'ego „Rafael i Fornarina" dokonany przez p. Arkadyusza Kleczewskiego. Jestto odbitka z Kroniki Codziennej.

— Wiktor Hugo pracuje obecnie nad dziełem, które ma nosić tytuł: „Historya zamachu stanu." Wyjdzie ono współcześnie po niemiecku, po angielsku i po włosku.

Nauki.

— Pan Dawid Gill, który był uczestnikiem wyprawy lorda Lindsaya w celu obserwowania przejścia Wenery przez tarczę słoneczną, na wezwanie londyńskiego Towarzystwa astronomicznego, uda się na wyspę Ascension, ażeby tego lata dokonać porównawczych obserwacyj nad biegiem i naturą planet Marsa i Aryadny, z których uzyskane być mogą nowe czyn-

niki do ścisłego obliczenia paralaksy słońca. Bliższe szczegóły o tem przedsięwzięciu naukowem, podane są w paryskim „Bulletin“ Nr. 177 z d. 27. maja b. r.

— W niedalekiej przyszłości, zagrozi Europie zupełny brak chininy. W roku 1873 przywieziono do Europy 44.439 pudełek kory chininy, odtąd zaś, liczba ta z każdym rokiem zmniejsza się tak, że w r. 1876 wyniosła zaledwie 20.735 pudełek. W bieżycym roku Europa nic jeszcze nie otrzymała. Oczywiście, że wskutek tego, cena chininy podniosła się nadzwyczajnie, tak że obecnie uncya tego lekarstwa kosztuje przeszło 10 zł. Zkądinnąd wiadomo, że terapia bezwarunkowo nie może się obejść bez chininy, mianowicie w czasie wojny lub epidemii. Mimowolnie nasuwa się pytanie, jaka jest przyczyna zdrożenia kory chininy i braku tego przedmiotu na rynku europejskim. Trudno coś pod tym względem stanowczego wyrzec, w każdym razie pewnem jest, że nieporządki i częste zmiany polityczne republik południowej Ameryki, są jedną z najważniejszych przyczyn, że Europa nie może ztamtąd dostać chininy tyle, ile potrzebuje.

Wynalazki i odkrycia.

— Nowy wynalazek, jak donosi „Gazeta Przemysłowo-Rzemieślnicza“, rozpowszechnia się obecnie w Warszawie. Są to tak zwane korki hermetyczne, wynalazek przez p. R. naszego rodaka w Ameryce dokonany. Praktyczność jego zasadza się na zaoszczędzeniu sum wydawanych na niszczące się po użyciu każdej butelki korki. Korek p. R. łatwo się otwiera, łatwo zamyka i szczelnie do butelki przystaje. Wyrobem tych korków w Warszawie zajmuje się firma pp. M. Landy i S-ka.

— Pan Juljan Grzybowski, warszawianin, mechanik zamieszkały w Chicago, wynalazł maszynę, która bez użycia pary wyrzuca z siebie strumień wody podwójny, grubszy i dalej sięgający, aniżeli strumienie sikawek parą poruszanych. Maszyna specyalnie do użytku i straży ogniowych przeznaczona, ma jeszcze i tę zaletę, że jest nadzwyczaj lekką i gdzie końmi dojechać nie można, czterech ludzi wnieść ją może z łatwością. Pan Grzybowski otrzymał w Washingtonie przywilej na swój wynalazek.

— Jeżeli siły ludzkie zdołają wykonać projekt pana Toselli, to rok bieżący upamiętni się na wieki w dziejach żeglugi morskiej.

Uczony ten proponuje urządzenie studzien wody słodkiej, wśród przestrzeni oceanów!

Pomysł to nadzwyczaj śmiały, ale nie jest pozbawiony podstawy, w wielu bowiem miejscach dna morskiego biją źródła wody słodkiej, któreby trzeba tylko wyprowadzić ponad powierzchnię wody słonej.

Według Toselli'ego należałoby tylko utwierdzić przy ujściach źródeł giętkie rury, kończące się na powierzchni pływającemi zbiornikami.

Odpowiednie urządzenia, których plan także p. Toselli podaje, chroniłyby te pływające fontanny od rozlicznych niebezpieczeństw.

Gdyby ten plan przyszedł do skutku, to żeglujący po morzach pozbyliby się jednego z licznych niebezpieczeństw braku wody do picia.

Ładunki okrętowe mogłyby się wtedy zmniejszyć o znaczną wagę wody zabieranej z lądu, a statki zaopatrywałyby się w nią tylko na czas potrzebny do przepłynięcia od jednej cysterny do drugiej, podobnie jak to czynią karawany w pustyniach.

Nadto te śródmorskie oazy stałyby się punktami zbornemi dla okrętów, w których następowałaby wymiana korrespondencyi.

— W handlach paryskich pojawił się papier odczynnikowy, nazwany „Oenokriną“, za pomocą którego można odkryć sztuczną barwę wina. Kawałek takiego papieru, zanurzony w czyste wino czerwone, nabiera wkrótce barwy szaro-niebieskiej, a po wysuszeniu popielatej, niby ołowianej. Jeżeli zaś wino jest zabarwione fuksyną lub innym preparatem anilinowym, to papier nabiera koloru jasno-karminowego; gdy zabarwienie wina pochodzi od koszenilli amoniakalnej, papier przybiera kolor blado-fioletowy; od zabarwień jagodami bzowemi, kwiatem malwy, Oenokrina staje się zieloną; od drzewa kampeszowego i brazylijskiego, przyjmuje barwę wytłoczyn winnych; od fernambuku i jagód alkermasowych staje się brudno-żółtym, wreszcie indygo zabarwia Oenokrinę na kolor ciemnobłękitny. Doświadczenia porównawcze wykonywa się w ten sposób, że kawałek papieru zanurza się na pięć sekund w czyste wino, otrząsa z płynu i kładzie na arkusz białego papieru: drugi kawałek zanurza się w wino podejrzane i kładzie obok pierwszego, a różnica barwy stanie się natychmiast widoczną. Niech no Oenokrina pojawi się we Lwowie!.. Nie wiemy, czy zwycięsko wyjdą z próby nasze Saint-Julieny, Chambertiny i Châteaux Margaux.

Podróże.

— Słynny arenoauta Jakobi, towarzysz znakomitego Sivela nadesłał do „Tagblattu“ sensacyjną wiadomość o podróży swej nadpowietrznej, jaką odbył z Flamarynem *po nad Oceanem* w sześćdziesięciu godzinach. We czwartek 26 kwietnia, o godzinie 4tej z rana, dzielni areonauci opuścili Filadelfią i przybyli dnia 28 z. m. o godz. 5tej wieczorem do Rennes w Bretanii. Balon opatrzony był aparatem wynalezionym przez Flamaryniego i lekką maszyną parową o sile 15 koni. Przeciw wiatrowi taki balon płynąć nie może, ale można nim sterować. Podróżnicy przetrwali straszliwą burzę i zawdzięczają życie jedynie nadzwyczajnej odwadze i przytomności Jacobiego, którzy podczas burzy załatał rwącą się tkaninę balonu.

Wystawa lwowska.

— Czytamy w Petersburskich Wiadomościach, że komitet wystawy przemysłowo-rolniczej we Lwowie, odniósł się do głównego zarządu kolei rosyjskich z prośbą o zniżenie opłaty dla wystawców rosyjskich, którzyby chcieli przesłać swe produkta na wystawę lwowską, Otóż według wyż rzeczonej gazety, główna rada zarządu kolei zgodziła się na to, to jest, że za wszelkie przedmioty, wysyłane na wystawę do Lwowa, ma być pobierana opłata podług obowiązującej taryfy, z powrotem źaś przewiezione będą bezpłatnie.

Wypadki.

— W Nancy, podczas Zielonych Świąt, zdarzył się wypadek, który, jeśli prawdziwie został opisany w gazetach berlińskich, może posłużyć za przyczynek do charakterystyki stosunków między ludnością francuzką i niemiecką Podług tej wersyi, przybyli z Metz do Nancy dwaj oficerowie pruscy, w stroju cywilnym; ubiór jednak nie dopomógł im do zachowania incognito, zaraz bowiem zostali poznani, i otoczeni przez tłum, gromadzący się coraz liczniej, w zamiarach nie mających nic wspólnego z uczuciem gościnności. Widząc, że nie mogą liczyć na opiekę żołnierzy francuskich, przybysze chcieli ratować się ucieczką. Wpadli oni do wagonu kolei konnej, ale tłum dogonił ich, i poodcinał postronki uprzęży, poczem oficerów tak zbito, że jeden z nich znajduje się w stanie niebezpiecznym. Pisma niemieckie podają powyższy fakt, jako proste bezprawie ludu, przeciw któremu nie wystąpiła ani policya, ani będący świadkami wypadku, oficerowie francuscy.

— W Moguncyi zgorzał d. 28 kwietnia dom, w którym się mieściła loża wolnomularska. Pożar ten dozwolił zbadać po części niektóre tajemnice tego stowarzyszenia, wszelako nie wszystkie, bo władza miejscowa była tak powolną iż dopuściła, aby nie otwierano szaf i skrzyń w jednej z sal tej sekty. Członkowie stowarzyszenia wreszcie pilnowali, aby raczej sprzęty te zgorzały, niż żeby je otwierano i wydobyto zachowane tam akta i protokóły. Widziano tylko, że jedna sala była czarno obita z trupiemi głowami i w niej stała trumna, która się spaliła, a zawieszony tam miecz tajnego trybunału, został rychło wyniesiony przez członków loży. Inna sala była żółta z żółtemi jedwabnemi krzesłami, inna niebieska z takiemiż meblami i zasłonami. Różne godła spaliły się, nie dozwolono bowiem ich ratować, pomimo, że ustawy nakazują straży pożarnej bez względu na właściciela mieszkania, uprzątnąć z niego wszystko, co się da uratować.

— O powodzi w Kremienczugu do gazety „Ruski Mir“ piszą co następuje: „Nigdy jeszcze wylew Dniepru nie zrządził w naszem mieście tyle spustoszeń jak teraz. Przestrzeń dwuwiorstowa jest zupełnie zalana. Dwie podmiejskie wioski Stalewka i Własowka, zburzone zostały do szczętu. Cały Kremieńczug, z wyjątkiem kilkunastu domów, stojących na pewnem wzniesieniu, jest pod wodą, i komunikacya odbywa się na łodziach. Większa część mieszkańców wyniosła się na przedmieście „Kamienia“, stojące na wzgórzu. Poziom wody przewyższa o trzy sążnie zwykły jej stan. Najwięcej przyczyniła się do smutnych skutków obecnego wylewu, tama na Dnieprze, która zajmując przestrzeń czterech wiorst w celu obrony miasta od wód dnieprowych, zwiększyła tylko powódź. Nie mogąc bowiem oprzeć się naciskowi wody, która od 18 do 20 kwietnia zwiększała się codziennie od 11 do 14 werszków, przerwała się w końcu i całą masę wody rzuciła na miasto. Straty w ogólności wynoszą kilkaset milionów rubli. Wiele domów zamieniło się w kompletne ruiny. Więzienie miejskie, budynek nowy, pierwsze uległo wszystko niszczącemu żywiołowi. Szczęściem zdołano więźniów ocalić. Mężczyzn przywieziono koleją żelazną do Połtawy, a kobiety umieszczono w ziemskiem więzieniu. Szkoła rzemieślnicza, której budowę rozpoczęto, zupełnie została zrujnowana, kilkaset sztuk belek woda uniosła. Most żelazny, prowadzący do Połtawy, został zerwany. Od dnia 24 kwietnia, wody wcale nie opadły. Municypalność Kremieńczuga wytęża wszystkie siły, by dopomódz ogólnej nędzy, ale stosunkowo nie wielkie jej środki, nie wystarczą na zażegnanie tak straszliwych klęsk“.

Następstwa wojny.

— Z Sewastopola piszą, że miasto z każdym dniem coraz bardziej pustoszeje, mieszkańcy wyjeżdzają w głąb Rosyi, lękając się niebezpieczeństw wojny. Handel ustał, statki parowe przestały kursować, negocyanci szukają wygodnych kącików, w którychby mogli w mętnej wodzie ryby łowić. W tych dniach znaczniejsi obywatele miasta udali się do miejscowego naczelnika z zapytaniem, czy i jakie mianowicie przedsięwzięto kroki w razie niebezpieczeństwa, gdzie mają się chować mieszkańcy, jeśli ich do tego zmuszą okoliczności? Odpowiedziano im, że w tej chwili nie grozi żadne niebezpieczeństwo, gdyby jednak tak było, to komora celna wydział banku państwa, kancelarya naczelnika miasta, zarząd kwarantanny, gimnazyum itp. instytucye zostaną przeniesione do Symferopola. Zresztą wszystko spokojne. Chociaż jesteśmy przekonani, dodaje w końcu korespondent, że nasze nadbrzeżne baterye nie pozwolą zbyt blisko przysunąć się nieprzyjacielowi, przecież nie wątpimy, że Turcy będą chcieli wypróbować siłę swych nabojów na murach miasta, które bezwątpienia w takim razie bardzo wiele może ucierpieć.

Inżynierya.

— W Felixdorfie, nieopodal od Wiednia, odbyto w tych czasach próby stalowo-bronzowych ciężkich dział Uchatiusa. Lekkie działa tego wynalazcy są już od lat paru zaprowadzone w wojsku austryackiem. Generał Uchatius przedstawił tym razem ministerstwu wojny dwa 15-sto centymetrowe stalowo-bronzowe cylindry. Z jednego z nich, 8-ma kilogramami prochu wyrzucano pociski 38,8 kilogramów wagi mające. Próby dowiodły, iż ciężkie działa te, na 1,5 mil niemieckich niosące, mogą być użyte z korzyścią do obrony wybrzeż i fortu.

— Prace nad połączeniem Francyi z Anglią, za pomocą tunelu podmorskiego, prowadzone są ciągle z wielką czynnością. Inżynierya obu krajów pracuje jednocześnie, z dwóch stron. Od strony Anglii przekopano już część tunelu na 120 metrów głębokości. Rezultaty dokonanych dotąd robót wykazują, że obliczenia były wierne i każą wierzyć w pomyślny skutek przedsięwzięcia.

Konkursy.

— Na ostatniem posiedzeniu poznańskiej komisyi dramatycznej konkursowej referowały sekcye o odczytanych przez siebie dwóch tragedyach; zgodnie z ich opinią jedna z nich, a mianowicie „Kiejstut“ poleconą została do wspólnego czytania. Tak więc z 41 nadesłanych sztuk, siedm, a mianowicie tragedye: „Marko Królewicz“, „Mieszko i Oda“, „Wojewoda Krystyn“, „Gorysława“, „Ofiara“ i „Kiejstut“, oraz komedya: „Dla dobra ogółu“, polecone zostały do wspólnego czytania. 34 zaś sztuk odsądzono od konkursu. Nadmieniamy przy tej sposobności, że prócz 41 sztuk we właściwym czasie nadesłanych, nadeszły jeszcze, lecz po pierwszym kwietnia, trzy sztuki, tj. „Odrodzenie“, „Leszek Biały“ i „Zbójcy czyli Krwawy haracz“, te więc odsądzono od ubiegania się o konkurs, jako po terminie oznaczonym nadesłane. Nie doszła zaś wcale rąk komisyi sztuka: „Reformatorki“, która miała być, jak zawiadamia jej autor, przesłaną. Przyszłe posiedzenie, przeznaczone na wspólne czytanie powyższych siedmiu sztuk, odbędzie się w czerwcu. Praca komisyi ukończy się prawdopodobnie przed 1. lipca.

ROZMAITOŚCI.

— Feldmarszałek hr. Moltke w opisach podróży swej, odbytej przed czterdziestu laty, tak opowiada o Doboruczy, na którą dziś z powodu wojny zwrócona jest powszechna uwaga. „Prowincya ta, pisze Moltke, znajdująca się między Czarnem Morzem i ujściem Dunaju, była dla mnie nową i ciekawą. Kiedy się widzi na mapie, jak Dunaj płynąc długo w kierunku wschodnim, nagle niedaleko od swego ujścia. zwraca się pod prostym kątem i płynie na przestrzeni dwudziestu mil w kierunku północnym, zdaje się, że ta rzeka sama utworzyła góry, przeszkadzające jej dopłynąć w prostym kierunku do morza, oddalonego zaledwie mil 7 od punktu załamania się Dunaju. Atoli tak nie jest. Szkielet Dobruczy składa się ze wzgórzy wapiennych i piaszczystych, pokrytych do pewnej wysokości namułowym pasem Dunaju. Wszędzie grunt przedstawia jednostajną szarą masę piasku i gliny, tworzącą brzeg Dunaju w całych Węgrzech, tak że na przestrzeni wielu mil niepodobna znaleźć kamyka choćby tak małego, jak ziarnko grochu. Przeciwnie w dolinach ukazują się skały, a im dalej na północ, tem wyższe i tem spadzistsze wznoszą się odłamy skał i wierzchołki wzgórzy, które w okolicy Maczyńskiej zamieniają się w szereg gór mających już prawdziwą formacyą alpejską, na małą skalę. Prowincya Dobrucza położona między morzem i spławną rzeką a mająca 200 mil kwadratowych obszaru należy do najsmutniejszych pustyń, jakie sobie można wyobrazić, i nie sądzę, żeby posiadała 20,000 mieszkańców. Jak daleko wzrok sięgnie, nie zobaczysz tam nigdzie drzewa lub krzaku; silnie zaostrzone grzbiety gór pokryte są trawą pożółkłą od upałów i falującą za powiewem wiatru. Przez całe godziny jedziesz przez puste obszary, nim napotkasz wreszcie jaką ubogą wioskę, bez drzew i bez ogrodów, w bezwodnej dolinie. Rzekłbyś iż ten ożywczy element wsiąknął zupełnie w spragnioną ziemię, w dolinach bowiem nie widać najmniejszego śladu wyschłych łożysk strumieni; woda zaś wydobywa się tam na długich sznurach łyczanych z głębokich studni. Już Rzymianie uważali Dobruczę za krainę, którą należało pozostawić północnym barbarzyńcom i odciąć ją murem, wzdłuż szeregu jezior Czarnowody, od Mezyi. W ostatnich czasach wojna zrobiła tu straszne zniszczenia; prawdopodobnie trzecia część wsi oznaczonych na mapie, już nie istnieje. Hirsowa składa się z 30 domów, a Izakczi i Tulcza leżą o 1.000 do 5,000 kroków, od dawnego swego miejsca. Kozacy, którzy dawniej tam mieszkali, przeszli do Rosyan, pozostała zaś mieszana ludność, złożona z Tatarów, Wołochów, Mołdawianów, Bułgarów, i małej liczby Turków. Gdy człowiek człowieka wygnał z tych miejscowości, zaprowadzone zostało z kolei panowanie zwierząt. Nigdzie nie widziałem tyle orłów olbrzymich, a były one tak śmiałe, że mogliśmy ich prawie dosięgnąć szpicrutami; na chwilę tylko, i jakby niechętnie, zrywały się one ze swego miejsca do lotu. Niezliczone stada korupatw z głośnym świergotem spadały niemal pod kopyta naszym koniom, zerwawszy się z suchej trawy, gdzie zwykle nad niemi krążył jastrząb. Wielkie stada dropi za zbliżeniem się naszem ciężko podejmowały się z ziemi; w powietrzu zaś snuły się długie klucze żórawi i dzikich gęsi. Latem przypędzają tu owczarze z Siedmiogrodu, owce i kozy tysiącami na paszę, płacąc po 4 pary czyli po $2^1/_2$ fenigi od sztuki, i nadto pięćdziesiątą sztukę z trzody. W łachach naddunajskich kryją się bawoły, tak, że im tylko nosy widać; a psy podobne do wilków i nie mające panów, biegają po polach. Przejeżdżaliśmy raz mimo wyspy na Dunaju, gdzie pasą się klacze matki, które skoro nas spostrzegły, zaczęły rżeć, a kilkoro źrebiąt rzuciło się do wody, aby ku nam przepłynąć. Spłoszone kaczki wyleciały z sitowia, a jednocześnie stado łabędzi podnosząc się ciężko, biło skrzydłami po gładkim źwierciadle wód. Był to widok zaiste godny pędzla Everdinga lub Ruisdala."

— Sądy w Hamburgu, Stutgardzie i New-Yorku są zajęte obecnie śledztwem w kwestyi maszyny piekielnej jaka znaleziona była na statku „Fryzya", o czem już donosiliśmy w swoim czasie. Niebezpieczny ten przyrząd miał pochodzić ze Stutgardu, zkąd posłano go do Hamburga. Władze nowoyorskie wyśledziły dotąd z całej tej sprawy tyle: „że skoro „Fryzya" dnia 11 kwietnia przybyła do tamtejszego portu, zwróciła uwagę urzędników celnych beczka z winem, której powierzchowność wydała im się nieco podejrzaną. Nakazano więc z zachowaniem wszelkich możliwych ostrożności beczkę otworzyć i w istocie zamiast wina znaleziono w niej ołowianą skrzynkę, zbrojną ze wszystkich stron w żelazne panewki. W skrzynce tej mieścił się dynamit w ilości zdolnej wyrzucić cały dom w powietrze. Skrzynka ta przeznaczona była, podług adresu na niej umieszczonego, do Huntingdon w Stanie Indyana. Najprawdopodobniejszem jest jednak, że umieszczono ją na statku „Fryzya" celem wysadzenia go w powietrze, jak się to w przeszłym roku stało z okrętem „Mosel". Byłaby to bezwątpienia straszliwa katastrofa, z uwagi że na statku „Fryzya" samych pasażerów było 272 osób.

— Korespondent paryski „Echa" podaje następującą anegdotę o Waleryanie Dzieduszyckim, dziadku ś. p. hr. Maurycego którą lat kilka temu słyszeć miał z ust naszego historyka, do dziś dnia żyjącego, 90 letniego Morawskiego. Waleryan Dzieduszycki odznaczał się takąż bystrością umysłu i dowcipem jak sławna Kossakowska z Potockich, kasztelanowa Kamieńska. Po zajęciu Galicyi przez wojska cesarzowej Maryi Teresy, zjechał jeden z arcyksiążąt austryackich do Lwowa i z tego powodu wezwano szlachtę do przedstawienia się dostojnemu gościowi. Arcyksiążę witał po kolei zgromadzonych, aż nagle stanął przed nim pan Waleryan, mały, niepoczesny człowieczek, z ogromnym garbem na plecach. Gwiazda Ś-go Stanisława zdobiła jego pierś, a świeżo otrzymany klucz szambelański dworu austryackiego był wyhaftowany na właściwem miejscu. Zobaczywszy tę ruchliwą, maleńką i powykręcaną figurkę, arcyksiążę zapytał z przyciskiem: — „Qui vous a ainsi décoré?" Dzieduszycki z dumą wskazując na gwiazdę, powiada: „Ceci m'a été donné par sa majesté le roi Stanislas," — a wykręcając się zgrabnie na pięcie, dodaje: — „et ceci par sa majesté apostolique!"

— Kilka dni temu w teatrze Zurichskim miała miejsce dość zabawna scena, która mogła się zakończyć nader tragicznie. Pewien profesor białej i czarnej magii ogłosił w afiszach, że między wieloma innemi sztukami, pożre trzy żywe osoby! Nic dziwnego, że się tłumy ciekawych zgromadziły, na to istotnie ciekawe widowisko. Owóż tedy gdy ów profesor wykonał cały program sztuk, z wyjątkiem tego numeru który był jedynym great attraction przedstawienia, zaczął się tłomaczyć i przepraszać publiczność, iż nie może pożreć trzech Szwajcarów dla tej prostej przyczyny, że nikt w mieście nie zgodził się ofiarować swych usług. Lecz zaledwie skończył ten frazes, trzech młodych ludzi zeskakuje z krzeseł, wpada na scenę i okazuje sztukmistrzowi swą gotowość w tym względzie. Nieco zmieszany profesor powiada, że w afiszach nie powiedział, iżby on miał zjeść 3 ludzi wraz z ich ubraniem. Rzeczeni młodzieńcy wychodzą za kulisy i po chwili stają przed naszym ludożercą w stroju praojca Adama. Wtedy oszołomiony profesor zwraca uwagę widzów, że nie obiecywał wcale pożreć 3 ludzi na surowo... Władze policyjne musiały z wielką trudnością zeskamotować rzeczonego eskomotera, gdyż oburzona publiczność jeżeliby go nie pożarła, to z pewnością dobrze by mu skórę wygarbowała.

— Gazeta Dońska pomieściła obszerny artykuł o zwyczajach dońskich kozaków, w którym między innemi zaznacza, że małżeństwo cywilne dawno między nimi było praktykowane. Obrząd małżeństwa był następujący: Gdy narzeczony z narzeczoną już byli po słowie, występowali przed zgromadzony na placu lud, modlili się, kłaniali wszystkim na około, a młodzieniec wymawiając imię narzeczonej, odzywał się do niej: — „Bądź moją żoną!" Ona zaś przyklękując przed nim powtarzała to samo: „Bądź moim mężem!" Tak złączeni małżonkowie oddawali sobie pocałunek, przyjmowali życzenia od obecnych, i ceremonia się kończyła. I rozwód był też tam w użyciu, a to w ten sposób: mąż wyprowadzał żonę przed zgromadzony lud, i mówił: „Mężni atamanowie! Dotąd była mi posłuszną i wierną, teraz zaś nie jest już więcej moją żoną i ja nie jestem jej mężem!" Tak rozwiedziona małżonka była w prawie przed tem samem zgromadzeniem z kim innym się zaręczyć.

— Awantura czysto amerykańska! „Na zakończenie listu z Londynu" — pisze Sygurd Wiśniowski w Gazecie Polskiej, — „wypada mi przeskoczyć do New-Yorku. Mam tam przyjaciela pana Mikulskiego, reportera przy niemieckiej Freie Presse w Brooklynie. Otóż przed miesiącem dostarczył on rozdziału do zamierzonej przezemnie pracy „o kłopotach człowieka z polskiem imieniem pomiędzy Anglosasami". Mikulskiego posłał redaktor na posiedzenie opiekunów domu obłąkanych. Posiedzenie trwało długo, reporter musiał zanocować w zakładzie i kazał zatelegrafować do redakcyi, że go zatrzymano w domu waryatów. Lingwista w urzędzie telegraficznym, zmienił Mikulskiego na Makloskiego.. czyli kardynała amerykańskiego (Mac Closkey.) Freie Presse nie pomnąc o swoim reporterze, wydała dodatek z nowiną, że ksiądz kardynał oszalał i znajduje się pod kluczem w domu obłąkanych. Każda gazeta w New-Yorku powtórzyła nowinę, więc zbiegowiska, deputacye, wzburzenie pomiędzy katolikami, odkrycie bredni i atak na drukarnię Freie Presse. Rzecz się wyjaśniła, lecz Mikulski nie należy już do składu niemieckiej redakcyi... odprawiono go za to, że nosi nazwisko niewygodne." Awantura czysto amerykańska.

— Ogród zoologiczny w Kolonii był temi czasy teatrem rzadkiej i okropnej sceny, widok której nie jeden z imperatorów rzymskich, milonami sestersów byłby opłacił. Tą sceną była śmiertelna walka pomiędzy dwoma białymi niedźwiedziami. Zwierzęta te, przed pięciu laty bardzo młodemi nabyte, wybornie żyły i rosły pomimo szczupłego miejsca które zajmowały, a najdoskonalsza zgoda zawsze między niemi panowała. Tymczasem temi dniami, niewiadomo z jakiego powodu, zlekka się posprzeczały i samica czując się słabszą, schroniła się za skałę po za szerokim basenem umieszczoną, na którą samiec cięższy i mniej zręczny nie mógł się wdrapać. Samica przez dni kilka nie ruszała się ztamtąd, instynktem przeczuwając złe zamiary swego Sinobrodego okrutnika. W końcu jednak głód „malesuada fames", zmusił ją opuścić bezpieczne schronienie. Samiec natychmiast z wściekłością rzucił się na nią. Straszliwa rozpoczęła się walka, napróżno użyto wszelkich środków aby rozdzielić walczących. Długiemi drągami okutemi żelazem uderzano z całej siły samca, który powalił swą żonę i dusił ją, szarpano go bakami, nie odwrócił się nawet ani razu ku nowym napastnikom swoim, tak straszną zemstą był zagrzany. Słychać było trzask kości czaszki pod jego potężnym zębem. Raptem, ażeby prędzej skończyć z ofiarą swoją, zerwał się i nieszczęśliwą ledwie już dyszącą samicę, zawlókł do basenu, głowę jej pograżył w wodę i trzymał dopóki śladu życia nie zostało. Potem jeszcze długo włóczył ją po całej zagrodzie, chociaż biedna nieboszczka 600 funtów ważyła, aż nareszcie chciał ją zaciągnąć do klatki, lecz nie zdołał tego uczynić, ciężkie jej drzwi między nim a nieboszczką zapadły i rozdzieliły ich.

— W Olbonne we Francyi, umarł Don Charles-Marie Saisson, generał słynnego zakonu Kartuzów. Jak wiadomo, zakonnicy ci wyrabiają smaczny i na całym świecie znany likier zwany „Grande Chartreuse." Sposób fabrykacyi likieru zachowywanym jest w tajemnicy, a przepis jego wmurowanym się znajduje pod wielkim ołtarzem w kościele opactwa. Przy elekcyi tylko nowego generała, wydobywają go braciszkowie, dają do przeczytania i napowrót z wielką ceremonią pod kamień składają. Dochody jakie zgromadzenie z tego przemysłu otrzymuje są olbrzymie; już z tego można o tem wnosić, że corocznie, zakon Kartuzów składa Watykanowi dobrowolnej daniny od 300,000 do pół miliona franków!

Treść Nr. 39.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.